POD WIATR.pl

NR 3 (174) ROK XXI CZERWIEC / LIPIEC 2014

ISSN 2084 - 8226

3

SAMI O SOBIE CZASOPISMO MŁODZIEŻOWE

fot. archiwum

W numerze

Zatrzymaj się, człowieku!

„Primo” w Rzymie

Z drżeniem polskiego serca

Korespondencja z Mauritiusa

Ekologia bez granic

Witryna Literacka

XIV Edycja Nagród Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego

Wyróżnienie dla redaktorów POD WIATR

11 czerwca w toruńskim Dworze Artusa odbyła się XIV GALA WRĘCZENIA NAGRÓD MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO. To prestiżowe wyróżnienie przyznawane jest przez gospodarza regionu osobom i zespołom za wartościowe dokonania w trzynastu kategoriach – dziedzinach, m.in. gospodarce, rolnictwie, badaniach naukowych, edukacji, ochronie zdrowia, działalności społecznej, budowie społeczeństwa obywatelskiego, kulturze i sporcie. W tym roku do Kapituły Nagrody zgłoszono ponad sto wniosków. ***Przyznane nagrody to uhonorowanie talentu i pracy osób wybitnych, które miały odwagę postawić sobie ambitne cele zmieniania rzeczywistości na lepsze*** – oznajmił podczas Gali gospodarz regionu, Marszałek Piotr Całbecki. Gratulując laureatom sukcesu, podkreślił, że nagrodzeni zostali najlepsi, najbardziej zasłużeni dla regionu. – ***Cieszę się i jestem dumny, że mogę reprezentować tak wspaniałe województwo. To wielki sukces wszystkich jego mieszkańców.***

W dziedzinie „budowa społeczeństwa obywatelskiego" **wyróżnienie** otrzymali **Anna** i **Mirosław Twaróg za wydawanie i redagowanie czasopisma społeczno-kulturalnego POD WIATR**. Pismo tworzy młodzież z Pomorza i Kujaw przy współudziale młodzieży polonijnej. Kapituła Nagrody w uzasadnieniu akcentuje m.in., że POD WIATR jest jedynym periodykiem edukacyjno-kulturalnym o zasięgu międzykontynentalnym tworzonym przez młodzież dla młodzieży tej samej narodowości. Przez 20-letni okres ukazywania się czasopisma obecność na jego łamach w rozmaity sposób zaznaczyło ponad 4,5 tysiąca autorów z kraju i środowisk polonijnych. Od 2012 r. pismo dostępne jest w Internecie: www.podwiatr.pl.

Nagrody i wyróżnienia wręczali laureatom: Przewodnicząca Sejmiku Dorota Jakuta i Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego Piotr Całbecki.

Na zdjęciu: dyplom wyróżnienia z rąk Przewodniczącej Sejmiku Doroty Jakuty odbiera Mirosław Twaróg. Fot. Andrzej Goiński

POD WIATR.pl ma formułę otwartą: udostępnia łamy każdemu młodemu twórcy oferującemu czytelnikom swój talent. Jest pismem dla Ciebie! Redaguj je z nami!

Łamy pisma oddajemy również dorosłym, którzy nas czytają i pragną do nas napisać. „Polski świat" tworzymy razem i razem za niego odpowiadamy. Przeszłość i teraźniejszość to droga, którą warto przebyć wspólnie. Dla przyszłości.

Nad Brdą *fot. Robert Sawicki*

Nasz adres:
POD WIATR
85-099 Bydgoszcz 23
skrytka pocztowa 49
www.podwiatr.pl
e-mail: podwiatr93@wp.pl

- **POD WIATR.pl** tworzy młodzież; amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii.
- **POD WIATR.pl** es creada por los jóvenes: aficionados al periodismo, la literatura, las artes plásticas y la fotografía.
- **POD WIATR.pl** est créé par les jeunes: des amateurs du journalisme, la littérature, les beaux-arts et la photographie.
- **POD WIATR.pl** is created by young people: amateurs of the journalisme, literature, fine arts and photography.
- **POD WIATR.pl** создавает молодёж; любители журналистики, литературы, художного искусства и фотографии.

KSIĘGARNIA PEDAGOGICZNO-SZKOLNA
Marii Maćkowiak, ul. Markwarta 2 w Bydgoszczy.
www.pedagogiczno-szkolna.pl

W księgarni nabyć można archiwalne egzemplarze POD WIATR

POD WIATR.PL www.podwiatr.pl społeczno-kulturalne czasopismo młodzieżowe.
Redagują: Anna i Mirosław Twaróg (red. naczelny). **Sekretarz redakcji:** Katarzyna Twaróg. **Redaktor graficzno-techniczny:** Anna Faleńczyk. **Redaktor Witryny Literackiej:** Zygfryd Szukaj. **Adres korespondencyjny:** POD WIATR 85-099 Bydgoszcz 23 skr. pocztowa 49. e-mail: podwiatr93@wp.pl. **Z redakcją współpracują:** Maria Babyszka i Agata Bełka-Świtkowska (Osiek n. Notecią), Marta Jagieło (Bydgoszcz), Danuta Buryta-Arndt i Maria Mitek (Łobżenica), Dorota Witt (Toruń), Paulina Młyńska (Poznań), Robert Sawicki (Bydgoszcz), Agnieszka i Żaneta Szlachcikowskie (Grudziądz). **Współpracownicy zagraniczni:** Zygmunt Kowalski (Argentyna), Qaarcaana Kowalska (Rosja), Dorota Mabjaia (Mozambik), Jarosław Moczarski (Kanada), Gosia Putteeraj i Ewa Mahadea (Mauritius), Monika Schneider (USA), Andrzej Szwagrzak (Boliwia), Jolanta Villarreal (Panama), Wanda Seliwanowska i Jan Zembrzuski (Rosja), Justyna Zuń-Dalloul (Wenezuela). **Wydawca:** „Agencja Wydawniczo-Reklamowa MT" Mirosław Twaróg, 85-028 Bydgoszcz, ul. Żmudzka 5, tel.: +48 52 342 93 10. **Skład i łamanie:** Dom Wydawniczy MARGRAFSEN S.C., 85-808 Bydgoszcz, ul. Białogardzka 11A, tel: +48 52 370 38 00, e-mail: biuro@margrafsen.pl http://www.margrafsen.pl
REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ ZAMIESZCZONYCH REKLAM. ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ADIUSTACJI, SKRACANIA TEKSTÓW I ZMIANY TYTUŁÓW.

My z XXI wieku

Nigdy nie dostałam listu miłosnego. Nigdy w życiu nie oczekiwałam na czyjeś słowa, nie patrzyłam na wykaligrafowane litery, nie trzymałam czyichś uczuć w dłoniach. I to nie jest żaden manifest niechcianej kobiety, nie jest to skarga na wszystkich mężczyzn, którzy omijają mnie wzrokiem. Zupełnie nie o to mi chodzi. To owszem, skarga, ale na pokolenie, na społeczeństwo, przede wszystkim na XXI wiek.

Zatrzymaj się, człowieku!

Wyrazy uznania dostaję w SMS-ie. Kiedy ktoś za mną tęskni, wystarczy mu kilka minut rozmowy telefonicznej. Gdy mówię mojemu chłopakowi, że chcę dostać od niego romantyczny list, on odpowiada, że przecież mail dojdzie dużo szybciej. Oczy ma śmiejące się, a jednak ja jestem zdenerwowana. Nie myślę już o nim. Nie myślę też o tym liście miłosnym (choć słowa napisane ręką, gdzie widać jej drżenie i niepewność, wydają mi się wzruszające). Myślę o tak zwanych dzisiejszych czasach. Nie chcę zabrzmieć staroświecko, nie chcę, by ktoś zaszufladkował mnie wraz z człowiekiem z epoki kamienia łupanego. Nie chcę nawet zmieniać niczyjego życia i przyzwyczajeń. Chcę jedynie napisać to, co bije mi w sercu, a Ty, zanim sięgniesz znów po swojego smartfona, poczekaj. E-maile się nie spalą, obiecuję! Chcę Ci powiedzieć, że coś mi się zdaje, że świat jest w bardzo słabej kondycji.

Wszystko w zasięgu ręki

Spróbowałam sobie wyobrazić, czego mi potrzeba podczas zwykłego, deszczowego popołudnia. To takie proste. Potrzebuję dobrej muzyki, rozmowy, jedzenia, wyrwania się ze świata, znów jedzenia, a na koniec – snu. Proszę bardzo! Muzykę mogę odtworzyć na YouTubie, porozmawiać mogę przez jeden z portali społecznościowych. Jeśli jestem głodna, mogę skorzystać z usług Telepizzy, gdy czas na oderwanie się od świata – włączam jakiś film, na kolację zamawiam kanapkę z Subwaya. A sen wymaga tylko łóżka.

I co? I nic. Okazuje się, że wszystko można załatwić, będąc w swoim pokoju. Nie wychodzić i siedzieć na kanapie. Być zadowolonym z własnego sprytu, z zachwytem obserwować czas, który oszczędzamy, a i tak tracimy. Bezmyślnie stukamy w ekran telefonu, gdzie wszystko jest kompatybilne, kolektywne i skonfigurowane. A ludzie? Wprost przeciwnie. Wszyscy osobno.

Nie umiemy już rozmawiać?

Wszystko zaczyna biec. Biec tak szybko, że to „wszystko" wyprzedza człowieka. Wyprzedzają go nowe technologie, Internet, systemy operacyjne, sztuczne inteligencje. I człowiek goni to wszystko. Goni to tak uparcie, że zapomina o prawdziwych wartościach. Powoli stajemy się niewolnikami przyszłości. Przygnębia mnie widok ludzi w kawiarniach, którzy przyszli do nich, aby porozmawiać i wypić dobrą kawę. Czy aby na pewno? Bo ja ostatnio, prócz kawy, zauważyłam inny niezastąpiony dodatek – telefon komórkowy. Taki, o, zastępnik rozmowy. Jego użytkownicy nieustannie coś piszą, wymieniają myśli, sprzedają się w Internecie. No właśnie, w Internecie. Bo nagle okazuje się, że kiedy ktoś patrzy nam prosto w oczy, nie umiemy już rozmawiać. Że jedynym łącznikiem ze światem jest ekran monitora. Że przez niego przechodzą wszystkie informacje, że przez niego przepływają skrawki rozmów, wyznania miłości, utracone nadzieje. Informacja przyspiesza, technologia tak samo, *tempus fugit*. Tylko… do czego to wszystko prowadzi?

Tylko sztuka Cię nie oszuka

Myślę, że na moje pytanie najlepiej odpowiadają artyści. A może powinnam powiedzieć obserwatorzy? Chodzi mi o osoby, które widzą świat, widzą jego kalectwo i starają się je zrehabilitować. Lub chociaż powiedzieć, że coś tu nie gra. Że do życia wkradł się dysonans. Najlepszym przykładem jest najnowszy film Spike'a Jonza pt. „Ona". Film przedstawia świat w apogeum rozwoju. Wieżowce są potężniejsze niż wyobraźnia ludzka, a komputery mądrzejsze od ich twórców. To świat pozbawiony miłości. To świat, gdzie wszyscy jej potrzebują, ale staje się ona tylko nieudanym projektem. Film jest o samotności, chyba o naszych czasach.

Z kolei Aldous Huxley tworzy wizje społeczeństwa w 2050 roku. „Nowy, wspaniały świat". Tak ironicznie autor nazywa swoją książkę. Roztoczył w niej obraz społeczeństwa idealnie zorganizowanego. Ułożonego niczym szwajcarski zegarek. Nie ma już w świecie chaosu, nie ma miłości, nie ma nawet uczuć. Każdy ma swoje, z góry ustalone, miejsce i każdy powinien być szczęśliwy. Szczęśliwy? Bohater książki wspomina: **„Ja tam wolę być nieszczęśliwy, niż pozostawać w stanie tej fałszywej, kłamliwej szczęśliwości, w jakiej się tu żyje"**. A wartości? No cóż. Wszystkie zginęły. Od rodziny, po prawdę. Wszystkie. Piszę o tym, bo wizje obu autorów mnie przerażają… Śmiałam się oczywiście z irracjonalności tych dwóch historii, jednak po dłuższej refleksji śmiech wysusza gardło i znika. Bo tak naprawdę, jak nam daleko do takiego stanu? Lub może lepiej – jak nam tam blisko?

Zatrzymaj się!

Nie mam wcale na myśli, że ten cały bieg do przodu jest czymś złym. Wręcz przeciwnie. Gdyby nie parcie przed siebie, wciąż tkwilibyśmy w jaskiniach lub, w lepszym przypadku, w drewnianych chatkach. Jednak zamiast po prostu biec, zapędzamy się. Zapędzamy się tak, że zaraz może nam nie starczyć oddechu do życia. Kolejne wynalazki przekraczają granicę moralności, a ludzie sami już nie wiedzą, kim są. Drogi Czytelniku, potraktuj ten tekst jako lampkę kontrolną. Nienarzucające się światełko, które gdzieś się tam tli i chce Ci coś powiedzieć. A chce powiedzieć jedno, Człowieku XXI w., ZATRZYMAJ SIĘ. Wyłącz Internet na jeden dzień, wyłącz telewizor, wyłącz niekończący się jazgot polityki i katastrof. Po prostu bądź. Bądź dla siebie i bądź dla innych. Poznaj świat, dotykając go. Nie przez ekran komputera. Nie przez telefon. Wyjedź, powąchaj, zobacz, posłuchaj. Wyłącz Internet, by włączyć zmysły. Bądź offline w sieci, by być online w życiu.

A słyszałeś o Henrym Davidzie Thoreau? Ponad 100 lat temu wyjechał do lasu, by żyć tam tylko z naturą. On jest pointą tego tekstu. **„Zamieszkałem w lesie, ponieważ chciałem żyć świadomie. Chciałem czerpać ze źródeł życia samą jego istotę. Odrzucić wszystko, co nie było nim, by w godzinę śmierci nie odkryć, że nie żyłem".**

Julia Smoleń l. 17

(Zanim znów sięgniesz po ten swój telefon, zastanów się, czy życia nie ma gdzieś indziej.)

fot. Anna Wajs

Z Pod Wiatr.pl przez świat

Od lutego 2012 roku, po osiemnastu latach wersji papierowej POD WIATR kontynuuje swoją historię w formie elektronicznej. PDF-y z czasopismem przekazywane są młodzieży i dorosłym czytelnikom pochodzenia polskiego za pośrednictwem instytucji, stowarzyszeń i organizacji polonijnych, polskich szkół za granicą, placówek dyplomatycznych, animatorów oświaty i kultury polskiej na świecie, osób prywatnych i duchownych do:

Albanii, Algierii, Angoli, Arabii Saudyjskiej, Argentyny, Armenii, Australii, Austrii, Azerbejdżanu, na Białoruś, Boliwii, Bośni i Hercegowiny, Beninu, Brazylii, Bułgarii, Chile, Chin, Chorwacji, na Cypr, Czarnogóry, Czech, Danii, Dominikany, Egiptu, Estonii, Finlandii, Francji, Gruzji, Grecji, Holandii, Indonezji Irlandii, Islandii, Japonii, na Jamajkę, Kamerunu, Kanady, Kazachstanu, Kenii, Kolumbii, Korei Południowej, na Kubę, Kuwejtu, na Litwę, Luksemburga, na Łotwę, Macedonii, na Madagaskar, Malezji, na Maltę, Maroka, na Mauritius, Meksyku, Mołdawii, Monaco, Mongolii, Mozambiku, Niemiec, Norwegii, Nigerii, Nowej Zelandii, Panamy, Paragwaju, Peru, Portugalii, Rosji, Republiki Południowej Afryki, Rumunii, Serbii, Singapuru, Sudanu, na Słowację, Słowenii, Szkocji, Szwajcarii, Szwecji, Tunezji, Turcji, na Ukrainę, USA, Uzbekistanu, Wenezueli, na Węgry, Wielkiej Brytanii, Wietnamu, Włoch, Zimbabwe, Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

„Primo” w Rzymie

Wsiadam razem z koleżankami do dwupiętrowego pociągu. Jedziemy ponad godzinę obrzeżami miasta. Gdy wysiadamy na stacji, moim oczom ukazuje się ogromny, nieskazitelnie biały budynek z unoszącą się nad nim kopułą. Podchodzimy do bramek, aby poddać się kontroli gwardzistów i przekraczamy progi Placu Świętego Piotra.

Wiele razy widziałam w telewizji piękne rzeźby apostołów nad głowami wiernych i fontanny, w których woda wydaje się czystsza niż w jakimkolwiek źródle. Jednak tamten widok nie mógł się równać z tym, co widzę i czuję teraz. Przede mną roztaczają się tłumy ludzi przybyłych z najdalszych zakątków świata. Wśród nich – wyjątkowo dużo dzieci w kolorowych czapeczkach maszerujących u boku swych opiekunów. Zaczynam robić zdjęcia wszystkiego dookoła, aby zatrzymać tę chwilę na zawsze w pamięci. Jestem w Watykanie.

* * *

Ustawiamy się w wyznaczonym na audiencję miejscu i czekamy, a ja w tym czasie upajam się widokiem przepięknej Bazyliki. Wszyscy obecni zostają powitani w swoim ojczystym języku, a następnie na telebimach pojawia się papież Franciszek.

Plac Świętego Piotra nagle ożywa. Wierni podrywają się z miejsc i z niecierpliwością czekają na przejazd Ojca Świętego. Szybko zajmuję wygodną pozycję i ustawiam aparat. Papież wjeżdża do naszego sektora i jest tak blisko, że mam ochotę wyskoczyć zza ogrodzenia i przytulić się do niego. Zgromadzeni zaczynają krzyczeć i chwytają aparaty fotograficzne, coraz bardziej napierają na drewniane poręcze. Tysiące dłoni uniesionych w górze gorączkowo machają. Sylwetka papieża Franciszka przesuwa się przed nami szybko. To tylko kilka sekund, gdy jest na wyciągnięcie ręki. Nagle papamobile zatrzymuje się. Ochroniarze podają na ręce Ojcu Świętemu chorego chłopczyka, którego papież całuje w czoło, a następnie oddaje wzruszonej matce. Łzy nieświadomie popłynęły po mojej twarzy. Dopiero dotarła do mnie waga tej chwili i byłam wdzięczna, że mogę zobaczyć tę scenę przepełnioną uczuciami miłosierdzia i nadziei.

Watykan to miejsce cudów. Tu przybywają nie tylko wierni, ale również wątpiący, chorzy, wyznawcy innych religii w poszukiwaniu odpowiedzi. Czy je znajdują? Nie wiem. Wiem na pewno, że warto było tu przyjechać, aby spotkać tak niezwykłą osobę. Aby przypomnieć sobie, co jest najważniejsze w życiu.

* * *

Ochłonęłyśmy z fali emocji, jakie towarzyszyły nam przez ostatnich kilka godzin, i dopiero teraz zauważyłyśmy, jak bardzo ciepło jest w Rzymie w Środę Popielcową. Powietrze jest ciężkie i duszne, a lekki wiatr nie przynosi ukojenia. Wszędzie unosi się zapach ciepłej pizzy i makaronów. W Wiecznym Mieście jest się raz w życiu, więc nie zastanawiamy się zbyt długo i „rzucamy się” w wir zwiedzania. Wychodząc z Placu, znalazłam się w zupełnie innym świecie. Tu nie ma ogromnych wieżowców, są tylko stare kamienice we włoskim stylu, ukwiecone balkony i drewniane okiennice. Tu czas zatrzymał się. A może tylko mnie się tak wydaje?

Wędrujemy cały dzień i korzystamy z uroków miasta. Zwiedzamy Panteon, świątynię umieszczoną w centrum miasta, tak bardzo odróżniającą się od reszty budynków. Ogromne Koloseum restaurowane po raz pierwszy w historii, całkowicie zakryte rusztowaniem, oraz ruiny Forum Romanum, niegdyś tętniącego życiem, teraz położonego kilka metrów pod poziomem miasta. Do fontanny di Trevi wrzucamy drobniaki, aby zgodnie z tradycją mieć szczęście w miłości, i rozkoszujemy się włoską pizzą i lodami.

* * *

„Teraz wystąpi przed Państwem chór Primo z Polski, dyrygent: Monika Wilkiewicz, zapraszamy!” Lekko zestresowane ustawiamy się na scenie. Będzie dobrze, musi być dobrze. Wpatrzone w naszą panią dyrygent, otwieramy teczki z nutami. Zaczynamy.

Śpiewamy pieśni sakralne wybitnych polskich kompozytorów. Przez kilkanaście minut skupiamy się wyłącznie na dźwiękach, a świat dookoła nas przestaje istnieć. Publiczność słucha w milczeniu oczarowana naszymi głosami. Rozbrzmiewają brawa. Udało się. Na scenę wchodzi organizator i wręcza nam **Golden Diploma**. Bardzo zadowolone i usatysfakcjonowane wracamy na widownię, aby wysłuchać pozostałych uczestników **Trzeciego Międzynarodowego Festiwalu Chórów i Orkiestr w Rzymie**. Czas płynie w miłej atmosferze i choć brakuje nam akcentu typowo integracyjnego, mamy okazję zaprzyjaźnić się z uczestnikami festiwalu z Włoch, Rosji, Grecji, Turcji, Estonii, ze Szwecji, Słowenii i z Czech. Szczególnie przypada nam do gustu chór ze Słowenii, więc na spektakularny finał „wparowujemy” jeszcze raz na scenę, aby zaśpiewać wspólnie popularny „Adiemus” K. Jenkinsa. Widownia ożywa, chórzyści dołączają do nas i po chwili cała sala śpiewa razem z nami! Wszyscy klaszczą w dłonie, tańczą, bawią się, robią zdjęcia. O tak, udany koniec festiwalu!

* * *

W drodze do Polski uzmysłowiłam sobie, że podczas pobytu we Włoszech zatrzymałam w pamięci chwile, które pozostaną w kronice mojej młodości na zawsze.

Tekst i zdjęcia:
Magdalena Pieniążek I. 17

Z drżeniem polskiego serca

Z Mauritiusa

Pragnę podzielić się z Wami – zespołem autorów POD WIATR i Czytelnikami tego pięknego czasopisma – wspaniałymi chwilami, jakie my, Polacy, przeżywaliśmy na Mauritiusie podczas kanonizacji naszego Wielkiego Rodaka Papieża Jana Pawła II, który na małej wysepce otoczonej wielkim oceanem pozostawił ślad i pamięć o sobie podczas oficjalnej pielgrzymki w 1989 roku. Do dzisiaj stoi ołtarz, przy którym odprawiał Mszę św. *(zdj. 1)*

Obchody kanonizacji obu papieży – Jana Pawła II i Jana XXIII poprzedziło ważne dla katolików na Wyspie wydarzenie. Na długo przed tym świętem jeden z naszych polskich księży poczynił starania, aby na Wyspę „trafiła" relikwia Jana Pawła II. Po kilku miesiącach korespondencji między maurytyjską Kurią a Watykanem i ks. kardynałem Stanisławem Dziwiszem nadeszła pomyślna wiadomość: na kilka tygodni przed planowaną kanonizacją Papieża Jana Pawła II nasz tutejszy ksiądz Tadeusz udaje się do Krakowa po odbiór cennej relikwii.

3

Po powrocie ks. Tadeusza na Wyspę odbyło się spotkanie polonijne, na którym ksiądz opowiadał nam, z jakimi honorami był przyjmowany u Ks. Kardynała i jak mu drżały ręce, gdy przyjmował od niego piękny dar dla całej społeczności katolickiej na Mauritiusie. Relikwia została umieszczona w pięknym relikwiarzu i wolno nam było jej dotknąć i ucałować, a nawet zrobić sobie przy niej zdjęcie, zanim trafiła do specjalnie przygotowanego miejsca w kościele pw. św. Juliana, w którym proboszczem jest właśnie ks. Tadeusz *(zdj. 2)*. Dla nas, Polonii na Mauritiusie, było to ogromne wydarzenie i osobiste przeżycie każdego z nas. Dzisiaj wszyscy wierni Kościoła katolickiego na Mauritiusie mogą przyjeżdżać do tego malutkiego kościółka i adorować świętą relikwię.

Do niedzielnego święta kanonizacji obu Papieży cała społeczność katolicka na Wyspie przygotowywała się od wielu dni. Wielokrotnie mówiono o tym w radiu, tutejszej telewizji, pisano w gazetach... We wszystkich kościołach czyniono przygotowania, by uczcić to wydarzenie. My, Polacy, postanowiliśmy uczcić ten dzień w kościele, w którym wystawiona jest relikwia św. Jana Pawła II. Od wczesnego rana zaczęli gromadzić się wierni i zjeżdżać samochodami ci, którzy przyjechali z drugiego końca Wyspy. Kościółek jest malutki, więc ks. Tadeusz obawiał się, że zbraknie miejsc siedzących dla wszystkich przybyłych, a uroczystość zapowiadała się długa. Ustawiono więc krzesła na zewnątrz kościoła. Nasz ksiądz przygotował ponadto dwa wielkie telebimy – jeden wewnątrz, a drugi na zewnątrz. W ten sposób tłumnie przybyli wierni mogli śledzić bezpośrednią transmisję z Watykanu.

Na Mauritiusie było wtedy prawie południe. Główną uroczystość przekazywaną z Watykanu rozpoczęło u nas wprowadzenie do kościoła obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, darowanego przez tutejszą Polonię *(zdj. 3)*, aby Matka zajęła miejsce obok swego Syna uwiecznionego na obrazie „Jezu, ufam Tobie" oraz blisko relikwii św. Jana Pawła II. My, Polacy, zajęliśmy miejsca przed ołtarzem, w pierwszych ławkach, do których została przytwierdzona polska flaga.

2

Podczas transmisji uroczystości z Watykanu ks. Tadeusz, kilku innych zaproszonych księży i my modliliśmy się równocześnie ze zgromadzonymi na Placu św. Piotra w Rzymie. W powietrzu czuło się wielkie religijne emocje... Kiedy uroczystość kanonizacyjna dobiegła końca, zorganizowaliśmy tuż obok kościoła, w małej salce spotkanie. Było bardzo podniośle i wzruszająco, a po posiłku zrobiliśmy jeszcze kilka polonijnych zdjęć na WIECZNĄ PAMIĄTKĘ tego dnia *(zdj. 4)*.

Myślę, że nie tylko my, Polacy, rozsiani po całym świecie, ale i wszyscy, którzy mają w swoim sercu Boga, poczuli tego dnia coś, czego nie sposób opisać, ale na pewno można określić mianem drżenia serca, bo i ja tak poczułam... Cieszę się, że dane mi było „przytulić do serca" choć na chwilę to, co zostało ofiarowane katolikom na Mauritiusie w relikwii – kroplę krwi pozostałej na sutannie po zamachu na życie naszego Drogiego Ojca Świętego Jana Pawła II. Będę o tej chwili zawsze pamiętała.

1

Małgorzata Putteeraj

Zdjęcia z archiwum autorki

4

20 lat POD WIATR – wspomnienie refleksyjne

Jest ktoś, kto mi skrzydła rozwija / I ktoś, co mi skrzydła pęta
Jest ktoś, co mi oczy zakrywa / I ktoś, co światło ciska
Jest jakaś ręka święta / I jest dłoń inna, przeklęta
Jest szczęście, co się ze mną mija / I nieszczęście, które mnie tuli.

(Stanisław Wyspiański, „Wesele")

Dzieci mgły

Podobno jest ulica… Ulica zdradzonego dzieciństwa. Stoi tam taki dom, jak inne domy. Mieszkają w nim *dzieci mgły*. Iskierki, których nie chcieli „ludzie dobrej woli".

Socjopatka – współczesna Królewna Śnieżka! Miała świadomość tego, że złe myśli nie budują dobrego życia, a jednak myślała źle. A potem wracała do swojej rzeczywistości i myślała tylko o rozdrożach. Im bardziej uświadamiała sobie, w czym tkwi, tym głębsza stawała się jej samotność. Do momentu, gdy powiedziała sobie – basta! ***Nie dogoni mnie przeszłość dziecka mgły.***

Wzruszona głodem miłości posiadła wyostrzony zmysł przetrwania. Pisała listy „gorące i zimne", listy do matki – błagalne apele przetrwania. „Uczę się życia od ciebie – pisała – więc szanuj mnie, żebym szanowała innych. Wybaczaj, żebym umiała wybaczać. Słuchaj, żebym umiała słuchać. Nie bij, żebym nie biła, nie poniżaj, żebym nie poniżała. I rozmawiaj ze mną, żebym umiała rozmawiać. Nie wyśmiewaj! Nie obrażaj! Nie lekceważ! Kochaj mnie, żebym umiała kochać"...

Znienawidzone po kres widowisko gniewu... współczesne realia **bidula**. Strach egoizmu! Beznadziejna walka o istnienie. Listy, które nigdy nie dotrą do adresata. Dzieciństwo, którego już nie odbuduje, bo zostało zburzone aż po fundamenty. I całe oceany łez – nawet najdelikatniejsza dłoń nie jest ich w stanie osuszyć.

„Zabij mnie, zanim ja zabiję ciebie!" – myślała. Cenzura, odrzucenie, postawa despotyczna. W odpowiedzi – mur niehamowanej rozpaczy. Obok – nieuzasadniona polemika. Nienowatorska forma ezoteryki sprawiała, że polski **bidul** stał się mitem. Bo jest taki malarz – mówiono – który jednym pociągnięciem pędzla zabiera wszystkie smutki. KŁAMSTWO! Jest taka kraina, w której rządzą dzieci. NONSENS!

Często przekreśla się ***potomstwo mgły***. Ponad 70 procent społeczeństwa mniema, że popełnią te same błędy co ich biologiczni rodzice. Bo kim może być dziecko alkoholików, jeśli nie alkoholikiem? Bo kim może być dziecko narkomanów, jeśli nie narkomanem? NIEPRAWDA! To tylko chory mit. Dzieci mgły mają marzenia, bo nikt ani nic nie jest w stanie wymazać tych łez, tego pragnienia bycia blisko... Nie skazujmy ich na los wiecznie niekochanych. Nie usypiajmy ich eterem naszych nienagannych manier. Na Boga – one mają marzenia!

Dzieci lubią, wręcz uwielbiają, słuchać i wcielać się w postacie głównych bohaterów. Ulubioną baśnią dzieci mgły jest Królewna Śnieżka, bo właśnie taką dawką chłodu je częstujemy. Gdzieś tam krzykliwy artykuł prasowy mówi: *Życie na krawędzi* lub *Nafukani, czyli jak amfetamina wpływa na młodego człowieka*. A TY – CO NA TO?

Rozejrzyj się – tu i ówdzie dostrzeżesz szarą kamienicę, małe okienko, a w nim – dziecko z noskiem przyklejonym do szyby. Nie dowiesz się, czy łzy na jego twarzy spowodowane są głodem, czy może nietrzeźwą matką, która od dwóch dni leży jak kłoda na podłodze i nie daje znaku życia! Nie zabijaj go chłodem! Uśmiechnij się, wrócisz mu tak potrzebną nadzieję.

Nieudana próba samobójcza, łzy, zgrzyt zziębniętych zębów. Za rogiem cisza – jak przed wojną. Kolejny artykuł prasowy: *Na gigancie*. Erem i Saskia uciekli z **bidula**. On chciał zobaczyć Warszawę, a ona pooglądać wystawy dobrych sklepów. Matka opowiadała mu, że Warszawa to miasto aniołów. Teraz jej nienawidzi, bo kłamała!

21 września Erem i Saskia skoczyli z dziesiątego piętra! Pytam przypadkowo napotkanego przechodnia, co o tym myśli – wyrachowana mina mojego rozmówcy sygnalizuje mi jego tupet, który ogromne nieszczęście kwituje wulgaryzmami i stwierdzeniem: *Naćpali się gówniarze*. Tłumaczę sobie, że to nie był człowiek, tylko ładne opakowanie, pod którym krył się zimny trup. Zaczynam myśleć, że to walka z wiatrakami.

Głód uczuć. **Bidul**, a w nim tysiące niespełnionych marzeń. Z każdego zakamarka wydobywa się ból.

Podchodzi do mnie mała Wiktoria – bez ogródek proponuje, żebym została jej mamą. Nie pomagają tłumaczenia, że jestem za młoda. Siada mi na kolanach, podsuwa karteczkę i mówi: *To jedyna pamiątka po niej*. Spoglądam na pożółkłą kartkę, a tam przysięga małżeńska jej rodziców. Ona zaczyna opowiadać mi historię *Motylka*: cukierkowa woń jej skóry przypomina mi dzieciństwo, beztroskie i pełne miłości. Kruszynka (bo tak ją nazwałam) opowiada niezwykłą historię, zaskakuje mnie jednak precyzja, z jaką to robi, te szczegółowo dobrane detale i dojrzałość, z jaką mówi. Niespotykana czystość tonu zmusza do milczenia.

rys. archiwum

Patrzyłam na jej twarz, uderzył mnie błękit oczu. Przypominał trochę spokojne mazurskie jezioro, po którym mknie bialutka żaglówka… Tą żaglówką była ufność niezachwiana, bo dziecięca. Mówiła, że każdy dostaje od śnieżnobiałych aniołków – wskazując tych tam na górze – motylka. Jest on naszą duszą. Kiedy jesteśmy dziećmi, lśni najcudowniejszymi kolorami tęczy.

Jej głos załamuje się. Kontynuuje, mówiąc, że jej motylek już strasznie wypłowiał, że pani wychowawczyni naszyła łatki na jego poranione skrzydełka. Ale on i tak chce odejść, bo tęskni za tęczą.

Nie potrafiłam zrozumieć toku myślenia tej siedmiolatki. W jej wieku myślałam raczej o księżniczkach, czarodziejkach, księciu zamienionym w żabę i o kameralnych przyjęciach. W pewnym momencie zburzyła moje wyobrażenia o jej ideałach – jeżeli można mówić o ideałach siedmiolatki. Powiedziała swoimi słowami, że umarło w niej jutro, co najgorsze – umarło w niej dziecko. Bo mamusia mówiła, że była pomyłką i błędem. Na koniec dodała, że mam smutne oczy, ale ona to rozumie.

Zdezorientowana nie wiedziałam, co zrobić – uciec czy może udawać niewzruszoną. Kruszyna poprosiła, ażebym wzięła jej motylka i wypuściła go w najpiękniejszym dla mnie miejscu… Przez głowę przebiegła mi jedna myśl, że to głupie. Po chwili Wiktoria przyniosła mi rysunek. Nie był on może zbyt staranny i na pewno nie przypominał motyla, ale było widać, że włożyła w niego swoje serce. To tego motylka miałam wypuścić.

Następna lekcja życia: „Nic, co mówią dzieci – pomyślałam – nie jest głupie".

Zamilkłam i wyjęłam z kieszeni muszelkę. Miała służyć mi jako talizman. Wiedziałam, że Wiktoria marzyła o tym, by zobaczyć morze, usłyszeć jego szum. Iskierki radości w jej oczach wynagrodziły mi wszystko. Widok, jak ta malutka rączka ściska zwykłą muszelkę i przykłada ją do serca, wznieca we mnie bunt. Czy musiałam doświadczyć tego, żeby uwierzyć?!

Dzieci mgły są jak pisklęta, kiedy któreś wypadnie z gniazda, niechybnie zginie. Jeżeli dziecka nie obejmiesz ciepłym rozumieniem, zmarnieje od chłodu.

Ludzie nie są tak po prostu podrzuceni na ten świat. Ludzie są powierzeni ludziom i oddani w ich ręce. Potrzebują miłości i ciepła. Bez miłości człowiek nigdzie nie jest w domu.

Droga Społeczności – nie pozwól, by te jasne promyki nadziei zniknęły niezauważone jak uciążliwa, nikomu niepotrzebna mgła. Bo trudno jest być blisko, kiedy jest się znowu tak daleko.

Anna Mąkol I. 17

POD WIATR nr 6/2004

Pejzaże życia

Babciu, gdzie był twój dom?

Siedzę na parapecie, patrzę przez okno... Pamiętam, jak niektóre rośliny były tak małe jak ja. Pamiętam ciszę, gdy kładłam się na trawę i wsłuchiwałam w odgłosy natury. Koniki polne, świerszcze, słowiki, dzięcioły, które czasem dało się i zobaczyć, szum drzew na bagnach – razem tworzyły i dalej tworzą symfonie dla uszu. Co roku zapach skoszonej trawy, widok zboża kołyszącego się na wietrze wywołuje przeróżne wspomnienia, ale to wszystko wkrótce zniknie, zniknie pod autostradą. A gdy już przeprowadzę się dwa kilometry dalej, wiem, że będzie podobnie, ale nie tak samo, wszystko stanie się obce, puste. Od nowa będziemy musieli tworzyć wspomnienia.

Zasypana ostatnio lawiną informacji o budowie autostrady S5, próbuję znaleźć jakiś sens w tym wszystkim. Mimo iż moja rodzina wie o tym zamiarze od kilkunastu lat – ja sama zaczęłam się interesować nim cztery lata temu, kiedy droga miała powstawać jakoby już niedługo. Do tego nie doszło i wszystko ucichło. Jednak niedawno ponownie rozpętała się burza związana z jej budową. Dopiero teraz zaczyna do mnie docierać, co stracę, albo... już tracę.

Mam szesnaście lat i mieszkam w tym domu o jeden rok krócej. Sam budynek, zbudowany przez moich dziadków, ma trzydzieści sześć lat. Mimo iż cieszę się, że będę miała nowy dom, a tym bardziej nowy pokój – serce rozdziera mi myśl, że nie będę mogła za kilkanaście lat pokazać moim dzieciom, a później wnukom domu, w którym się wychowywałam. Domu, który dał mi tyle wspomnień, domu, gdzie po raz pierwszy stawiałam samodzielnie kroki, gdzie dostałam swój pierwszy prezent pod choinką, gdzie bawiłam się przez lata z przyjaciółkami w ogrodzie, ganiałam w kółko za motylami, żabami czy ślimakami. Tutaj pierwszy raz skręciłam kostkę i zrobiłam sobie bliznę. Tu widziałam, jak rodzą się zwierzęta i tu je pochowałam. To właśnie tutaj kłóciłam się z siostrami i uciekałam płakać w samotności, jak teraz, kiedy nie mogę powstrzymać łez... Myślałam, że tu będę odwiedzać rodziców za kilkanaście lat. Miałam nadzieję, że na pytanie: „Babciu, gdzie był twój dom?”, bez problemu wezmę wnuka za rękę i pokażę go.

Uważam, że nowoczesne drogi są nam potrzebne i jest to świetna inwestycja, ale smutek zostanie na bardzo długo w moim – naszych sercach. Nie wiem, czy jadąc autostradą S5, będę umiała przypomnieć sobie, jak wyglądał mój dom, gdzie stał, gdzie znajdowała się huśtawka, a gdzie płot, przez który przechodziłam między belkami. Muszę powoli oswajać się z tą myślą, z tym, że kiedyś w miejscu kuchni będą jeździć mercedesy i tiry. Przecież tyle pracy i uczuć zostało włożone w zbudowanie domu i ogrodu, że ciężko będzie powtórzyć taki sukces, a jeszcze wcześniej – wyjść po raz ostatni z domu i nigdy więcej już go nie zobaczyć.

Tekst i zdjęcie:
Małgorzata Ziaja l. 16

Szukał ducha – trafił do historii

Walenty Szwajcer miał szczególną pasję: lubił przyglądać się rozmaitym śladom w ziemi i odgadywać ich znaczenie. Zwłaszcza wtedy, gdy otaczała je tajemnicza aura. Miał to w sobie od dziecka. Kiedy w początkach lat trzydziestych ubiegłego wieku jako młody nauczyciel znalazł zatrudnienie w małej szkółce wiejskiej w Biskupinie na Pałukach – szybko znalazł okazję, by dać upust swojej namiętności. Pałuki kryły bowiem wiele tajemnic. Zwłaszcza jedna z nich intrygowała mieszkańców wioski i okolic – legenda o Mikołaju Nałęczu, zwanym „Krwawym Diabłem Weneckim”. Przed wiekami jego zamek znajdował się nieopodal Biskupina, w miejscowości o nazwie Wenecja.

Nałęcz, według legendy, był człowiekiem okrutnie swawolnym i niesprawiedliwym, a przy tym na bogactwo wyciskane z poddanych – ogromnie łasym. Ponieważ jakoby ta chciwość nawet po śmierci go nie opuściła, swoich skarbów nadal pilnował i tułał się w koszmarnej postaci widma w pobliżu ruin weneckiego zamczyska. Tyle legenda. W rzeczywistości pan Mikołaj, sędzia kaliski, był człowiekiem równie światłym, co sprawiedliwym. Biedaków raczej nie krzywdził, a „krwawy” przydomek spreparowali mu bezsilni wrogowie, kiedy przeciw ich niecnym postępkom występował.

Mikołajowe widmo na harce upatrzyło sobie podobno wciskający się w Jezioro Biskupińskie niewielki półwysep. Ludzie omijali to fatalne miejsce i nie było nikogo, kto by o zmierzchu zapuścił się na uroczysko. W dzień natomiast ten i ów poczynał sobie odważniej, gdyż krążyły wieści, że można tam znaleźć pod dostatkiem bali drzewnych, które po osuszeniu dobrze paliły się w piecu.

Walenty Szwajcer, świeżo zatrudniony w biskupińskiej szkółce nauczyciel, nic sobie nie robiąc z przestróg mieszkańców, w dzień i przy świetle księżyca spacerował po okolicy, zaglądając ciekawie w każdy jej zakątek. Także w sąsiedztwo jeziora słynącego z mrożących krew w żyłach opowieściach o spotkaniach z Nałęczowym duchem.

Pewnego dnia, kiedy wody pobliskiej rzeczki Gąsawki opadły, a z nimi tafla jeziora, ujrzał wyłaniające się z jego głębi wbite w dno pale, jakieś skorupy, garnki gliniane i wiele innych dziwnych przedmiotów. Jako człowiek światły, od razu poznał, że to nie diabelska sztuczka, lecz znalezisko archeologiczne. Pobiegł więc czym prędzej do starostwa i opowiedział, co zobaczył.

W starostwie słuchano go długo i cierpliwe, po czym kazano udać się na posterunek policji i tam złożyć stosowny meldunek. Posterunkowy, usłyszawszy relację nauczyciela, stwierdził, że nie będzie sobie nią zaprzątał głowy. Ponieważ dostał posadę w innej miejscowości – musi zająć się przeprowadzką.

Szwajcer nie dał za wygraną. Mając w pamięci wyprawy miejscowych rolników po znajdowane na uroczysku drewniane pale, czuł, że musi się spieszyć, jeżeli chce je ocalić. Wobec obojętności lokalnych urzędników i policji – o swoim odkryciu zawiadomił archeologa Uniwersytetu Poznańskiego, prof. Józefa Kostrzewskiego. Wkrótce nad jezioro dotarł zespół naukowców. 22 czerwca 1934 roku rozpoczęto prace wykopaliskowe. Biskupin stał się rajem dla badaczy pradawnej przeszłości.

I tak oto Walenty Szwajcer, szukając „Diabła Weneckiego”, odkrył ślady osiedla obronnego (grodu) kultury łużyckiej z wczesnej epoki żelaza (ok. 650–550 p.n.e.). Usytuowane na ówczesnej wyspie Jeziora Biskupińskiego (obecnie półwysep), zajmowało powierzchnię około 2 hektarów. Badane do dziś jest jednym z najlepiej rozpoznanych grodów pradziejowych w Europie.

Wzmianki o wspaniałym znalezisku znajdują się w renomowanych encyklopediach i przewodnikach. W nielicznych wspomina się o jego odkrywcy. Niesprawiedliwie... Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby Szwajcer zbagatelizował swoje odkrycie lub uległ frustracji po spotkaniu z posterunkowym? Zapewne piece okolicznych rolników strawiłyby wszystkie drewniane okruchy prasłowiańskiej historii, a bagna i wody jeziora pochłonęły gliniane skorupy. Biskupin zostałby jedynie punktem na mapie Pałuk, a istotny fragment pradawnych dziejów pozostałby tajemnicą.

Współczesny Biskupin każdego roku odwiedzają tysiące turystów z całego świata, a doroczne, oryginalne Festyny Archeologiczne (na zdjęciu) przyciągają tutaj rzesze młodzieży i dorosłych spragnionych spotkań z kulturą materialną naszych praprzodków. Biskupińskie jezioro, jego okolice i zrekonstruowana osada stały się plenerem kilku filmów, m.in. „Ogniem i mieczem” i „Starej baśni”.

Walenty Szwajcer zmarł 2 czerwca 1994 r. w Biskupinie. Stał się legendą. Starsi mieszkańcy Biskupina – wioski położonej nieopodal Żnina – 50 kilometrów od Bydgoszczy, zachowali o nim pamięć jako dowcipnym, dziarskim i niezłomnym w swoim poglądach staruszku, który przeszedł do historii dzięki młodzieńczej ciekawości. I roztropności. Bo ciekawość i roztropność właśnie w tym przypadku miały ogromne znaczenie, co dla nas powinno stać się cenną wskazówką życiową.

Tekst i zdjęcie:
Wojciech Kozłowski l. 24

Witryna Literacka

Widowisko

Wśród powodzi negatywnych sądów i opinii o nowej podstawie programowej z języka polskiego dla szkół średnich uważny polonista odnajdzie dla siebie, a przede wszystkim dla swojej uczniowskiej dziatwy jeden rys pozytywny. Światełko w tunelu, promyk nadziei. Okazuje się nim... teatr, na rolę którego warto zwrócić więcej uwagi. Tym bardziej, że obserwuje się w środowisku młodych jego budzący optymizm renesans. Teraz odbiorcami tej sztuki są, może nawet w przewadze, pokolenia nastolatków, i trochę ponad.

Teatr, a właściwie prościej i adekwatniej – widowisko, posiada obecnie największą siłę masowego rażenia. Niekoniecznie, co wywołuje sprzeciw, zawsze siłę artystyczną, intelektualną czy moralną. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że nasz kraj w żadnej gałęzi sztuk pięknych nie zaoferował dzieł, które stałyby się niezaprzeczalnym i niezbędnym wkładem w twórczy dorobek artystyczny o europejskim znaczeniu. Jednak akurat w kwestii teatru rzecz ma się, co znamienne, całkiem inaczej. Nie musimy uważać się za szczególnie upośledzonych w dziedzinie kultury, której patronuje Melpomena.

Dlaczego? Z dwóch istotnych powodów! Mieliśmy od początków państwowości teatr średniowieczny, misteria, teatry dworskie, szkolne, kościelne, gościliśmy obce, wędrowne trupy aktorskie. Głównie włoskie, francuskie i niemieckie. W obiegu i transfuzji europejskiego teatru byliśmy na poczesnym miejscu. Od czasów Jana Kazimierza, czyli bardzo wcześnie jak na kraje europejskie, wykluwał się u nas wielki teatr publiczny. I co jest niezwykle ważne – ta sztuka, już w momencie narodzin, przemawiała do odbiorcy po polsku.

Najpierw udramatyzowane dialogi, potem tragedie, moralitety, farsy, opery, balety, komedie grane były na wszelkiego rodzaju scenach. Grano mniej więcej wszystko to, co i gdzie indziej. Czasami nawet i ten pułap znacznie przekraczano. Żaden wybitny autor sceniczny nie był, i do dziś ta pożyteczna reguła jest zachowana, pominięty. Przy okazji warto wspomnieć, że jak gdyby przy teatrze kwitły szkoły aktorskie, na wyżyny wznosił się kunszt interpretacyjny oraz sceniczny uczniów Melpomeny. I w tej dziedzinie jest naprawdę czego nam zazdrościć.

Dzisiaj mamy nie tylko teatr, ale i popularniejsze: film, telewizję, Internet – sztuka widowiska zyskała więc nowe kanały przekazu. Widownia z kolei zwiększyła się do maksimum. Stefan Żeromski pytał retorycznie w *Dziennikach*, do jakich przeobrażeń my, teraz już ludzie wolni, musimy i pragniemy okazać się zdolni. Pytanie o nowoczesne przeobrażenia wciąż jest aktualne. W tym przekształcaniu narodowej natury mistrz dawał miejsce istotne sztuce, a teatrowi w szczególności. Szczególność teatru obecnie, wraz z jego współczesnymi, licznymi odnogami, niepomiernie wzrosła. W szkole nie można o tym zapomnieć.

Zygfryd Szukaj
lystopad@interia.pl

Bartosz Wopiński l. 19

W drodze

W stronę kuli słońca
w kierunku gromady chmur
gwiazd ułożonych w rozproszone
znaki
wędruję ścieżkami marzeń
w drgnieniu serca i pulsie świtu
żeglarz ziemskich pospolitych
szlaków
wstępuję w niesłyszalną ciszę
kosmosu
wiosłuję
radośnie bez wysiłku
czekam i wyglądam
kiedy odemknie się święta
powieka wszechświata
Oko błękitu
nad naszym malutkim skrawkiem
łąki
zagubioną oazą
Gwiazdy jedynie rozjaśniają noc
nad ciemną zielenią
zdradzone
przez dzień

Ars poetica

Gromy burze i lawiny
pieśń płacz i rozpacze
są akuszerami
drobnej ledwo rozkwitłej
mojej poezji
poczętej na skalistej ziemi
pośród pokrzyw
wyrastającej z kamiennej szczeliny
jadowitej głuszy
pomiędzy chwastami
Potrzeba jej bliskości
twojego serca
królowo
słońca dotyku
wulkanu ust
który użyźni i otworzy
wesołe doliny
Roślina wiersza podniesie wtedy
głowę
po te jasne promienie
dobrej nowiny

Patryk Kumik l. 18

Ten, który...

Sztyletem słów przeszyty na wznak
padam
Wsłuchany w szepty nocy gardzę
łaską Pana

Dusza piekła otworem mnie
jedynemu
Snem wieczności skute bramy
Edenu

Pusta twarz krzywy uśmiech
krwawymi łzami
O krok do nieba zwrócony plecami

A gdy stóp mych ślad zgubi się
we mgle
Miła ma czy wspomnisz wtedy
mnie?

Zapomnieć tęsknię

Otwieram oczy
powoli.
Zakładam buty
szybko.
Włączam muzykę
głośno.
Zamykam drzwi
cicho.
Idę.
Staję.
Wiążę buty
mocniej.
Oddycham
wolniej.
Słucham muzyki
głośniej.
Biegnę
szybciej!
Biegnę
dalej!
Zamykam oczy
powoli.
Myślę
wróć.

fot. archiwum

Darek Białczyk l. 19

Do zmiennej

Rosa róża i manna
uroda przyrody
piękno wiosennego zenitu
dobro Pana
Roso delikatna
naga
umiłowana w chłodzie przedświtu
giniesz
kiedy wstępuje złota kula
po schodach
od żaru słońca
Różo południa jedynie
córko lata
rozrzutna i marnotrawna
ucieczko od burz i wichrów
ozdobo stołu
więdnąca natychmiast w przeciągu
Manno słodka
nadziejo wagabundy
deszczu pustynny
zegarze prawdy
wybijający godzinę głodu
dla ślamazarnego marudy
I ty zmienna
w tańcu
rozkwitająca
niestała i chwiejna
dla mnie nieobecna
zobacz
widzisz
jak wzrasta twój czas

Aleksandra Gizińska l. 18

Nadludzka

Pragnienie nieustannych owacji
Ślepa chęć dominacji
Zrodzona w poczuciu niższości
Nadludzka mania wyższości
Lubuje się i egzystuje z cudzych
słów podziwu
wbrew nadwyrężonym ludzkich sił
sprzeciwu
Gardzi tym co przeciętne
Szukając tego co niecodzienne
Wyzbyta prawdy, pokory nieznająca
Drogami bezwzględności siebie
prowadząca
Wartość ustanowiła celem
Cel dążeniem
Dążenie obsesją
A życie presją
Zbluzgana błotem sławiącego się
cynizmu
Gnała w kaloszach wątpliwego
egoizmu

Proszę pani… jeśli pani pozwoli…
Czy pani akceptowała siebie?
Czy też zrobiła coś dla siebie?
I wreszcie
Wiedziała pani czym jest szczęście?
Proszę pani… jeśli pani pozwoli…
Pani kalosze są brudne

Rozbitek

Nie wiem, co robić... Nie wiem nawet, jak zacząć! Przepraszam więc z góry za wszystkie gramatyczne i niegramatyczne błędy, jakie w tym liście znajdą być może przytulne schronienie. Jestem rozbitkiem na bezludnej wyspie! Nie potrafię przypomnieć sobie, po jakim morzu czy oceanie żeglowałem, nie jestem tym bardziej w stanie podać długości i szerokości geograficznej mojego beznadziejnego położenia… Beznadziejnego! Mam jednak nadzieję, drogi Upragniony Znalazco i Czytelniku, że pismo moje dotrze do Ciebie i że pomożesz mi wydostać się stąd! Podaję parę spostrzeżeń dotyczących wyspy – powinny okazać się pomocne podczas akcji poszukiwawczej, która... Myślałem już, że umrę! W jedynym pozostałym przy mnie długopisie skończył się tusz!

Szczęściem znalazłem zakopany w piasku ołówek, ocalony z Wraku – to nazwa mojego stateczku. Reszta załogi zaginęła. A teraz te szczegóły… Jest plaża, na plaży piasek… Jest ląd, wkoło woda… Woda jest słona… Chce mi się pić… Trawa, za plażą wszędzie trawa, szeroka równina bez końca, ginie za horyzontem… Nie widziałem żadnej rzeki, ale jeśli chcę przeżyć, muszę jej poszukać, wiec napiszę, że w pobliżu płynie rzeka… Gór nie widzę… Ani wulkanu na środku wyspy… Ani dżungli… Świeci słońce, ale nie przypieka…

Ratuj mnie, Człowieku Dobry! Nie wiem, jak zanotować łzy… Czekam na pomoc! Żądam jej! Aaaaaaaaaaaaa…! (to mój wrzask pełen rozpaczy) Gdybym miał przy sobie swoje zdjęcie, dołączyłbym je do listu… Ratunku! Kartka się kończy… Znalazcę czeka nagroda!

***

Nasz biedny rozbitek zapomniał się nawet podpisać, jego list – ze względu na brak formy – nie mógłby więc zostać umieszczony w jakimkolwiek podręczniku. Kartkę przez siebie zabazgraną zwinął w krzywy i pomięty rulonik i wcisnął do butelki po soku pomidorowym, którą znalazł w śmietniku stojącym na plaży. Butelkę dokładnie zakręcił, wziął długi rozbieg, szeroki zamach i cisnął nią w kierunku spokojnego, gładkiego morza. Butelka leciała i leciała, aż rozbiła się o kamień wystający z wody. Potłuczone kawałki szkła zmieniły się w kolorowe motyle. Zawróciły nad ląd, zatrzepotały delikatnie skrzydełkami nad głową beznadziejnie zrozpaczonego rozbitka, który w swojej bezsilności zbladł i padł na kolana, a później poleciały w stronę ciągnącej się aż za horyzont łąki.

W tym samym momencie plażą nadszedł człowiek. Stanął przy rozbitku, popatrzył w stronę morza, westchnął ciężko i powiedział:

– Wujku, wracajmy do domu. Czekają już pewnie na nas z obiadem.

Kamil Mikietyński l. 21

Zostałam wybrana

Stałam na warszawskiej Woli i broniłam reduty. Dzień zaczął się dobrze i w spokoju przeżyłam wraz z innymi ranek. Jednak przed południem, około godziny jedenastej trzydzieści, usłyszałam w oddali huk.

Moje serce stanęło. Szybko pobiegłam do dowódcy i powiedziałam o tym zdarzeniu, ponieważ inni, którzy stali dalej, mogli nie usłyszeć cichego, odległego huku. Dowódca, ku mojemu zdziwieniu, uwierzył mi od razu. Brał bowiem każdy alarm na poważnie i do siebie. Świadczy to także o tym, że miał do nas wszystkich pełne zaufanie. Natychmiast kazał przyszykować armaty i inne przedmioty obrony. Wystraszyłam się jak nigdy. Jest to uczucie nie do opisania. Z jednej strony czułam strach i chciałam uciec jak najdalej z tego miejsca. Z drugiej – musiałam ładować armaty i szykować naboje, jednym słowem – pomagać. Gdybym miała uciekać, pewnie i tak bym nie miała dokąd. Zresztą nikt nie uciekał, każdy wykonywał polecenia dowódcy. Jak ja bym wyglądała, uciekając sama, podczas gdy inni zostaną i może nawet zginą?

„Mogę zginąć” – to była moja pierwsza myśl po usłyszeniu tego wystrzału. Właściwie wszyscy mogliśmy zginąć, a my zamiast uciekać czy poddać się, stanęliśmy do walki, by bronić naszego miasta, naszego kraju, naszej ojczyzny, naszej ziemi.

Godzinę później wszyscy usłyszeli trzy gromkie wystrzały. Wróg był bardzo blisko. Serce biło mi jak szalone. Nie wierzyłam – co ja tu robię, gdzie ja jestem, dlaczego tu jestem?! Takie myśli biegły mi po głowie. Chłopak, który był bardzo blisko i też musiał robić to co ja, jakby czytał w moich myślach. Podszedł do mnie i szepnął mi do ucha: – Nie bez powodu tu jesteśmy. Bronimy naszej ojczyzny, naszego domu. Zostaliśmy wybrani.

Ostatnie słowa najbardziej utkwiły mi w pamięci: „zostaliśmy wybrani”. Rzeczywiście, muszę przyznać, że miał rację. W końcu nie każdy się do tej misji nadawał. To dodało mi wielkiej odwagi oraz chęci do walki. Już się nie bałam. Wiedziałam, co robię i wiedziałam, że jestem na właściwym miejscu. Bóg chciał, żebym tu była. Czułam to. Zaczęliśmy strzelać. W powietrzu unosił się pył, widoczność była bardzo słaba. Nagle usłyszałam głos dowódcy: – Cofamy się! Szybko!

Wszyscy zaczęli gwałtownie biec i kryć się za murami. Już chciałam się zerwać do biegu, gdy usłyszałam czyjś krzyk. Bez zawahania podbiegłam i zobaczyłam chłopaka, który wcześniej wsparł mnie na duchu. Nawet nie wiedziałam, jak ma na imię, lecz teraz nie było na to czasu. Noga utknęła mu w dziurze, w ziemi, nie mógł jej wydostać. Próbowałam mu pomóc, ale na próżno. Wtem ujrzałam lecącą w górze bombę wystrzeloną z armaty przez wroga. Znalazła się centralnie nade mną i nad nim. Nie było czasu ani szansy na ucieczkę. Kucnęłam przy nim i złapałam go za rękę. Oboje zamknęliśmy oczy. Powiedziałam w duchu: – Boże, uratuj nas!

Obudziłam się i nie wiedziałam, gdzie jestem. Obok dostrzegłam jakiegoś mężczyznę. Pomyślałam, iż oboje jesteśmy w niebie. Jednak za chwilę przyszedł lekarz z pielęgniarką i zapytał, jak się czuję. Wtedy zrozumiałam, że to chyba jednak nie niebo, a szpital. Natychmiast powróciły do mnie myśli z tym, co się wydarzyło i pojęłam, że pan obok mojego łóżka to dowódca obrony reduty! A mój nieznajomy?! Zaraz zasypałam dowódcę milionem pytań: czy on żyje? Gdzie on jest? W jakim jest stanie?

Po chwili mój zapał ochłonął.

– Nie żyje – odparł dowódca – bomba wybuchła niedaleko was obojga. Mimo że byliście blisko siebie, bomba była bliżej niego. Ty jakimś cudem przeżyłaś.

Czyżby ostatnie moje słowa przed wybuchem zostały wysłuchane przez Boga? Tylko że ja pomyślałam o NAS, a nie o MNIE! Dlaczego? Dlaczego przeżyłam akurat ja, a nie on?! W tym momencie przypomniałam sobie jego słowa: „zostaliśmy wybrani” i pomyślałam, że ja po to przeżyłam, by dalej walczyć, bronić i zmieniać coś, zmieniać świat. Zostałam wybrana.

Blanka Rusinek l. 14

Przęsła miłości

Za miastem, może kilometr, czuła się jak na odludziu, w puszczy albo gęstym lesie, jakieś tropiki Amazonii, czy coś takiego. Wilgotno, ciemno, różnorodne rośliny, drzewa i krzewy, znane zapachy i wonie nieznane, po prostu dżungla. Brakuje tylko, żeby pyton wypełzł spod poszycia.

Środkiem tajemniczego miejsca płynęła wartko rzeka, a nad nią, wysoko bardzo, wznosił się stary most kolejowy, już zabytek, o licznych rdzewiejących przęsłach. Nigdy nie przychodziła tutaj sama. Bała się tego nadrzecznego grząskiego pasa ziemi, komarów i mroku. Słońce zawsze się chowało przed nimi. Dlaczego Jerzy lubił rozsiadać się tutaj na małej polance, z soczystym prześcieradłem zieleni upstrzonym żółcią jaskrów i niezwykle intensywnym zapachem rumianku? Nie zastanawiała się nad tym aż do dzisiaj, do teraz. Tutaj usłyszała, właściwie doświadczyła jego wyznania.

– Mam tobie coś ważnego do powiedzenia – rzucił od niechcenia, na dużej przerwie i nie czekając na reakcję, zniknął w przepastnych korytarzach szkolnej budy. Jak te lekcje niemiłosiernie się dłużyły!

Zadzwoniła natychmiast po wyjściu ze szkoły, z komórki, w drodze do domu. Jakie to zadziwiające! Nie można spacerkiem iść do domku, na luziku, rozglądając się po świecie albo wypatrując znajomków, rozglądając się za niewidzianym dawno ziomalem. Jak inni ludzie. Zawsze ktoś drynda albo trzeba komuś dryndnąć. Nie ma komórki, to nie ma życia.

– Coś ważnego? – indagowała bez wstępów.

– Tak za darmochę nie powiem!

– Nie udawaj wyrachowanego, lisku chytrusku – śmiała się do słuchawki.

– Usłyszysz i zobaczysz. Dwa w jednym – zakończył.

Znała już miejsce spotkania. Na początku drogi do nowego osiedla, przy rzędzie ławeczek. Kiedy przychodziła, siedział na oparciu jednej z nich i miała wtedy przekonanie, że ławeczka zaraz się przechyli, Jerzy spadnie i połamie sobie kości. Pogruchoce. Ale nie podejmowała tego wątku. Taka nawijka to beka.

Szła obok niego. Nie za szybko, potrafił genialnie dostosować się do jej marszowego, leniwego tempa. Intuicyjnie i bezawaryjnie. Ciepło jego ręki nie miało nigdzie swego zamiennika. Jedyne. Wędrowali naprzód, a miasto, w kierunku, którego nie odwracali nawet głowy, nie zaszczycali przypadkowymi spojrzeniami, oddalało się i zamazywało jak na nieudanych zdjęciach w sepii.

– Nie dam rady z fizy – mówił, patrząc w bok – mam już trzy pały.

– Idiotka – skomentowała.

Byli już blisko tego zadziwiającego, trudno dostępnego nieużytku, swego ulubionego miejsca, gdzie nie przebijało się ciepłe słoneczne światło i obejmowała obecnych momentalnie przenikająca, paraliżująca wilgoć.

Tym razem nie zeszli w dół, na polanę.

– Chodźmy na most – zaproponował znienacka i całkiem niespodziewanie.

Nie oponowała. Stanęła przy balustradzie i obserwowała z przerażeniem, jak na przepastnym dole rwie się strumień rzeki. Wiało i wzdrygnęła się z zimna. Puścił jej rękę, ale nie zwróciła na to uwagi, zafascynowana grozą rzecznego żywiołu. Zdecydowała się w końcu odwrócić od tej ogromnej głębi, sfinalizowanej na dnie wodnym czarnym, piekielnym wirem. Musiała odejść od barierki i tego widoku, bo czuła, że ma on w sobie jakąś magiczną moc, która formułuje pod jej adresem uwodzące, niebezpieczne zaproszenie.

Natychmiast, z niepojętym strachem i walącym głośno sercem, coś zauważyła. Patrzyła gdzieś spoza siebie i dostrzegła, że stoi sama na tym długim, rozhulanym wiatrami, nieużywanym moście. Samiutka.

– Jerzy, Jerzy! – wołała.

Wzywania i wezwania tonęły w poszumie wiatru i rozpływały się w bezbrzeżnej, pustej przestrzeni. Odpowiedź dochodziła do niej po paru sekundach, ale jako przedrzeźniające, fonicznie zdeformowane echo.

Ponownie, raz jeszcze doszła do galeryjki. Spojrzała w czarną dziurę ścielącą się u jej stóp. Żadnego śladu, żadnej zmiany, brak życia. I przez ułamki sekund, w niepoliczonym momencie, chciała w tę czerń wniknąć, zespolić się z nią, zespolić z nieobecnym Jerzym.

Nagle, wbrew dzikiemu wiatrowi, na przekór obezwładniającej pustce, usłyszała donośnie i krystalicznie czysto wykrzyknięte swoje imię. Nic jeszcze nie widziała, ale stary, brzydki most w tym samym momencie skurczył się na wyciągnięcie ręki i rozpościerająca się przestrzeń zupełnie zmalała. Wychyliła więc bez lęku głowę przez balustradę i zobaczyła pokryte rudym nalotem jego metalowe przęsła. Na tych poszatkowanych rusztowaniach, z małpią zręcznością, z jednego na drugie, przeskakiwał Jerzy.

– I jak? – zakrzyknął znowu.

Nie odpowiedziała. Skrzyżowawszy ręce na poręczy, śledziła pobieżnie te gimnastyczne popisy. Wodząc oczami za zwinnymi manipulacjami silnych dłoni, zastanawiała się, o co mu chodzi w tej demonstracji. Co powinna usłyszeć?

– Powiedz coś – prosił.

Wtedy odwróciła się zdecydowanie od płotka i skierowała na polankę. Już po pierwszych krokach był przy niej. Ciepłe strużki potu Jerzego zaznaczyły sobie prawo do jej policzka.

– Jesteś na mnie zła? – zapytał.

– Zupełnie przeciwnie. Byłabym zła, gdybyś mnie nie zawołał.

– Bałaś się?

Nie odpowiedziała. Szli do miasta w milczeniu. Przy ławeczkach przerwała tę ciszę i Jerzy usłyszał odpowiedź.

– Teraz się nie boję. Wiem, co mi chciałeś powiedzieć.

Dagmara Nawotka I. 17

POCZTYLION LITERACKI

Piszesz wiersze? Tworzysz opowiadania, próbujesz powieści? Prowadzisz dziennik, pamiętnik, notujesz swoje refleksje z przeczytanych lektur? Możesz wszystkie swoje literackie prace przedstawić do fachowej opinii. Każdy list zostanie przeczytany i będzie odpowiedź. Możesz swoją twórczość przedstawić światu i opublikować na naszych łamach. Sprawdź, jak wielu, w wielu krajach nas czyta. Zachęcamy do nadsyłania autorskich tekstów pocztą mejlową, na adres e-mail podany na końcu Pocztyliona Literackiego.

■ **Darek B., Bydgoszcz** – Twoja sztuka poetycka nawiązuje do ciekawych tradycji literackich, nie tylko polskich. Dobrze, że swoje tropy, nawiązania sygnalizujesz króciutkimi kultowymi fragmentami tekstów wybitnych poetów. To dopuszczalne, chociaż niektórzy się krzywią, twierdząc, że to poezja bibliotek. Proszę o więcej wierszy. Zachęcam też do popróbowania sił w innych gatunkach. Szczególnie polecam recenzję i esej, bo wszystko wskazuje, że byłyby to oryginalne i indywidualne spojrzenia. O to chodzi przecież.

■ **Bartosz W., Koronowo** – Matura już poza Tobą, pewnie bez problemów poszło, więc można teraz pakować plecak. Nieznane i znane zakątki czekają. To aluzja do interesującego tekstu *W drodze*, który ma na naszych łamach swój debiut. Z tej drogi warto by nam przesłać swoje refleksje, w różnorodnej formie. Chętnie je przedstawimy szerokiemu odbiorcy. Jeszcze uwaga techniczna – proszę wiersze, nawet jak ostatnio dwa jedynie, też dołączać jako załącznik do listu.

■ **Dagmara N., Nakło** – Z ciekawością zapoznałem się z Twoim listem, zwłaszcza spostrzeżeniami dotyczącymi polonistycznych studiów na naszej Alma Mater. Może kiedyś zechcesz je uporządkować i narobić nieco bałaganu w tym schemacie i monotonii filologicznych studiów. Twój tekst prozatorski, miejscami, choćby w tytule, prześmiewczy, zrobił na mnie duże wrażenie. Chwalę za element zaskoczenia, za tę niespodziewaną zmianę nastroju w narracji. Wyrażę się nie najpoprawniej, ale trafiając w sedno, bo to, co przedstawiłaś, jest wyższą szkołą jazdy. I te rozbudzone apetyty czytelnika domagają się zaspokojenia i kontynuacji.

Zygfryd Szukaj
lystopad@interia.pl

Warsztaty dziennikarskie dla młodzieży

PRASA • RADIO • TELEWIZJA

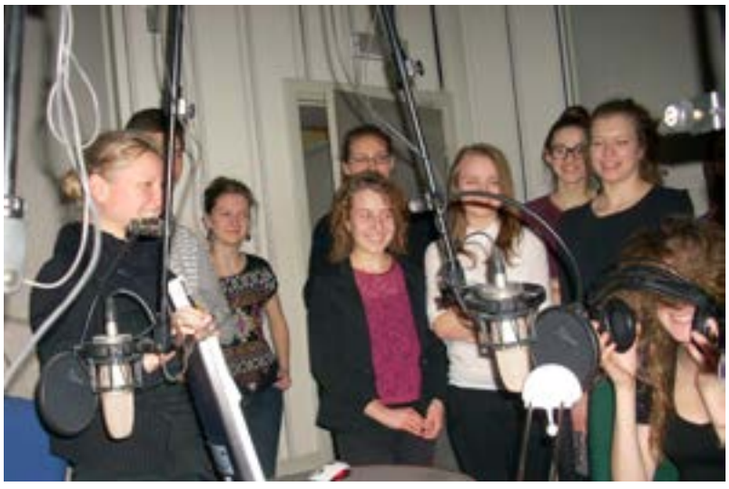

Zostań dziennikarzem!

Młodzieżowy Dom Kultury nr 4 w Bydgoszczy zaprasza uczniów: szóstych klas szkół podstawowych, gimnazjów oraz szkół ponadgimnazjalnych na XXIII edycję MIĘDZYSZKOLNYCH REGIONALNYCH WARSZTATÓW DZIENNIKARSKICH.

W PROGRAMIE m.in. doskonalenie sztuki pisania, analizy i interpretacji tekstu, przetwarzanie obserwacji, informacji i opinii w różne formy wypowiedzi medialnej oraz podstawy: tworzenia gazety, techniki radiowej i telewizyjnej.

ZAJĘCIA SĄ BEZPŁATNE.

Warsztaty odbywać się będą 2 godziny w tygodniu (od października br. do czerwca 2015 r.) w Bydgoszczy. Ćwiczenia specjalistyczne poprowadzą dziennikarze oraz realizatorzy radiowi i telewizyjni mediów regionalnych. Warsztatami kieruje Mirosław Twaróg – ich twórca i autor koncepcji programowej. Patronuje im Stowarzyszenie Sympatyków Dziennikarstwa Młodzieżowego.

Tradycyjnie utworzona zostanie grupa regionalna dla uczestników Warsztatów zamieszkałych w miejscowościach odległych od Bydgoszczy. Grupa ta odbywać będzie zajęcia w co drugą sobotę miesiąca.

ZGŁOSZENIA PISEMNE zawierające: imię, nazwisko, adres, typ szkoły oraz klasę należy przesłać do 10 września (włącznie) e-mailem: 23warsztaty@wp.pl

SPRAWDZIAN KWALIFIKACYJNY odbędzie się 13 września (sobota) o godzinie 11.00 (organizatorzy nie wysyłają indywidualnych zawiadomień) w Zespole Szkół 0gólnokształcących nr 1 w Bydgoszczy, pl. Wolności 9 – siedzibie Warsztatów. Na sprawdzian należy przynieść przybory do pisania i legitymację szkolną.

Więcej o Warsztatach: www.podwiatr.pl

Na zdjęciach: praktyczne doświadczenia uczestników XXII Warszatów w Ośrodku Regionalnym TVP w Bydgoszczy i Rozgłośni Polskiego Radia Kujaw i Pomorza.

20 lat POD WIATR – wspomnienia z Dachu Afryki

Noc przed wielkim wyjazdem jest zawsze bardziej stresująca niż inne dni i noce. Moje dwie torby były spakowane już dwa dni przed wyjazdem. W ciągu nocy powinno się spać, by odpocząć przed długą i męczącą podróżą autobusem szkolnym. A ja czekając na godzinę piątą piętnaście – o której muszę się obudzić, żeby uniknąć spóźnienia – przebudziłam się, a raczej… nie spałam. O drugiej trzydzieści zaczęłam przepakowywać się, bo stwierdziłam, że nie mam wszystkiego, co powinnam zabrać… W Dar es Salaam to środek nocy, ludzie wstają, kiedy wstaje słońce. Przykładem tego jest czas, którym się posługują miejscowi. Według nich – godzina szósta jest godziną „0”.

Gdy nadszedł termin wyjazdu na miejsce zbiórki – wszystko było przygotowane. Z tego, co zauważyłam, mój mniejszy, „podręczny” bagaż okazał się cięższy od głównego. Było w nim niewiele rzeczy – tylko ciepły, puchaty śpiwór, trzy litry wody i buty do chodzenia po górach. Tata i ja stawiliśmy się w szkole pięć minut przed czasem, ale nie byliśmy pierwszymi. Inni też zapewne nie mogli spać. Wszyscy: dziewięć dziewczyn, dziesięciu chłopaków i czterech nauczycieli było gotowych do wyjazdu o godzinie siódmej. Kierunek – **KILIMANDŻARO**.

Przed nami długi dzień. Jedenaście godzin w autobusie. Nie było jednak tak źle. Wszyscy znaliśmy się, tworząc żartami, komentarzami i rozmowami miłą atmosferę dla samych siebie. Niektórzy zabijali czas wygodnym spaniem albo słuchaniem muzyki. Gdy jechaliśmy na północ **Tanzanii**, stawały się zauważalne różnice geograficzne w roślinności, krajobrazie i wśród ludzi spotykanych na drodze. Wyjeżdżając z miasta, wkroczyliśmy na obszary pozbawione prądu, bieżącej wody, w okolice, gdzie budulcem domu jest błoto.

Nasz pierwszy dzień podróży dobiegł końca, kiedy o godzinie piątej po południu dotarliśmy do hotelu **Babilon Lodge.** Tu po raz ostatni wzięliśmy ciepły prysznic, położyliśmy się do dużych łóżek i mogliśmy oddychać pełną piersią. Bardzo przytulne miejsce, w zasadzie nic specjalnego, ale przyjemne schronienie dla tych, którzy będą albo byli już na **GÓRZE**.

Czynimy ostatnie przygotowania przed ranną podróżą na podbój największej atrakcji turystycznej w Tanzanii. Trzeba znów się rozpakować i spakować, zabrać niezbędne rzeczy. W hotelu zostawiam discmana – tam u góry zamarzają baterie, a poza tym nie trzeba się martwić o kradzieże. Wystarczy wziąć widelec i talerz – przecież za pomocą miseczki i łyżki można zjeść prawie wszystko. Zabieram parę spodni i polar.

Rankiem, przed wyjściem, należy odpowiednio się ubrać. Czapka z daszkiem, krótkie spodenki i koszulka z krótkim rękawkiem, no i dwie pary skarpetek – dla uniknięcia odcisków, które mogą strasznie utrudnić chodzenie. Duży plecak na plecy – małym zajmie się ktoś inny (tragarz), laska w rękę i do roboty!

Od znaku rozpoczynającego szlak całą grupą idziemy od razu pod górę. Krajobraz… istna dżungla, na niektórych odcinkach podchodzi się stromo. Fruwają kolorowe motylki, mijamy strumyczki, a nawet małe wodospady. Nie ma szans, by zgubić się po drodze… Im wyżej wchodzimy, tym bardziej zmienia się roślinność. Idziemy wolno. Tak lepiej, ponieważ organizm łatwiej przystosowuje się do zmian wysokości.

Cała nasza ekipa podzieliła się na grupki koleżeńskie. W drodze do **pierwszej chaty** przerwa na małą przekąskę i znów wspinaczka. Ze scenerii lasu deszczowego weszliśmy w obszar krzaczków i drzew – widok prawie jak w Polsce. Wieje przeszywający wiatr, dlatego kurtka i długie spodnie stają się coraz potrzebniejsze. Dotarcie do celu zajęło nam pięć godzin. Teraz cały dzień jest dla nas.

Najpierw zrobiliśmy wycieczkę do pobliskiego krateru. Bardzo dobrze widać położone w dole wsie i miasto **Moshi** oraz okoliczne górki. Resztę dnia zajmuje nam gra w karty na cukierki i inne słodycze. W chacie turyści mogą korzystać z elektryczności. Używane są tu wyłącznie baterie słoneczne. Energia pobierana jest ze słońca, którego promienie mogą ułatwić życie nocującym tu osobom. Dlatego za dnia nie zużywa się za dużo prądu, aby niepotrzebnie go nie marnować.

Las deszczowy

Bezchmurna noc znacznie ułatwia podziwianie gwiazd wyglądających jak małe diamenty na czarnogranatowej płachcie. Nie można oderwać wzroku od tego widoku. *Diamox* to lek, który ułatwia oddychanie na wysokościach, szczególnie nocą, ale… wszystko ma swoje koszty. Jednym ze skutków ubocznych jest to, że znacznie częściej chodzi się do… dziury w ziemi, czyli toalety. Kiedy więc dziewiętnaście osób znajduje się w jednym pomieszczeniu, noc nie jest spokojna dla żadnego z nas.

Rano znowu trzeba się odpowiednio ubrać, czyli – na to, co miało się na sobie, należy dodatkowo nałożyć długie rękawki i nogawki, bo robi się zimniej. Wędrówka z pierwszej chaty do drugiej jest podobno najtrudniejsza z całej trasy wiodącej na wierzchołek Kilimandżaro. Przed wyjściem wszyscy sprawdzają, czy mają dwa litry wody i małe „co nieco” pod ręką.

Po raz pierwszy śniegi **Kibo**, jednego ze szczytów **Kilimandżaro,** pokazują się już po godzinie wędrówki. Drzew zaczyna być coraz mniej i z tego powodu wiatr staje się dokuczliwy. Jest stromo… Mija nas grupka ludzi schodzących już z góry, z dużym uśmiechem i kremem nałożonym na ustach… Świecącego słońca zaczyna mieć się już dosyć, wieje wiatr i coraz trudniej wchodzić. Tak jak przedtem, nasza grupa rozdzieliła się. Ale wszyscy, choć zmęczeni, doszli do chaty. Zajęło nam to sześć godzin i dwadzieścia minut. Przyszliśmy przed czasem.

Gdy dochodziliśmy do **drugiej chaty**, zaczęły nadciągać chmury. Zatrzymaliśmy się więc na sześć godzin. To okazja, by użyć chusteczek odświeżających ułatwiających higienę. Lepiej skorzystać z takiego rozwiązania, niż brać lodowaty prysznic na powietrzu. Przebieramy się w suche rzeczy i odpoczywamy przy gorącym kubku herbaty, kawy lub czekolady, no i sprawa jasna – rozgrywamy partyjkę gry w karty. Podobnie jak w pierwszej chacie, tak i tu pracują miejscowi ludzie: kucharz i inni. Przygotowują ciepłe posiłki i napoje. Kładą je po prostu na stole. Tutaj nie można kupić żywności lub czegoś do picia Nasi tragarze wzięli z dołu wodę pitną w butelkach. Każdego wieczora miałam duże, czerwone wypieki na twarzy i stan podgorączkowy, zapewne dlatego, że wspinając się, piłam mało wody i w ciągu pięciu minut musiałam wypić litr, aby uzupełnić jej brak w organizmie. Mały ból głowy zaczął być odczuwalny. Dawała znać o sobie wysokość.

Znów razem w jednym pomieszczeniu i znów *diamox*… Na tej wysokości nie jest tak łatwo iść za potrzebą. A to wszystko przez to, że w powietrzu znajduje się coraz mniej tlenu. Jest zimno na zewnątrz, więc jeśli zachodziła konieczność, należało biegiem udać się do „toalety” (takiej samej jak w pierwszej chacie). Po takiej przebieżce szybko się męczysz, nie można złapać tchu. A potem we wspólnej „sypialni” musisz zachowywać się cicho, oddychając jak po biegu przełajowym. Podobno ja i pozostali uczestnicy naszej wyprawy oddychaliśmy jak wielki niedźwiedź…

Długa noc. Kiedy wstaje słońce, przed oczami roztacza się poranny, piękny widok. W oddali widać śnieg, a pod nogami małe, tłuściutkie, skaczące ptaszki. W ciągu dnia spacerujemy bez dużych plecaków do pobliskiej **„Zebra Rock”**, czyli „Skały zebry”. Przyjemny trzygodzinny spacerek, żeby przyzwyczaić się do wysokości i oglądać wspaniały krajobraz górski. Gdy dotarliśmy na miejsce, po kilkuminutowym odpoczynku zaczęliśmy wspinać się na kolejną „górkę”, z której będzie widać naszą drogę do **Kibo**, trzeciej chaty. Dziś ośnieżone Kilimandżaro zaczęły okrywać chmury. Niezbyt wyraźny widok… Mamy dzień bardzo „luźny”, przeznaczony na aklimatyzację. Śpimy, gramy w karty… po prostu nic nie robimy, przygotowując się psychicznie i fizycznie na bardzo ciężki dzień następny.

Plan jest taki. Wyruszamy na podbój **„Kili”** o ósmej rano. Idziemy do Kibo osiem godzin. Docieramy tam, jemy coś ciepłego i idziemy spać około piątej po południu. Jesteśmy budzeni o jedenastej w nocy, o północy wyruszamy na **Gilman‘s Point**, niższy szczyt, no i może **Uhuru**, ten wyższy.

Gdy wyruszyliśmy, zauważyłam, że ostatnie drzewa widzi się przez półtorej godziny wchodzenia, wkrótce cała roślinność umyka. Krzaczki, trawki jeszcze istnieją, a potem to już sama pustynia, piach i kamienie pochodzenia wulkanicznego.

Po drodze mijamy małą „toaletę” – drewniany domek… Przeszywa go wiatr, przenikają promienie słoneczne, a na dodatek każdy widzi, że tam idziesz. A w środku – po prostu… dziura w ziemi. Podchodzimy pod górę i schodzimy w dół, a potem posuwamy się równą drogą. Topograficznie mówiąc, to najłatwiejszy dzień wchodzenia, ale przez wysokość i braku tlenu jest trochę

TRUDNIEJ. Mam na sobie: krem przeciw promieniom UV, przynajmniej factor 25, okulary przeciwsłoneczne, długi rękawek i nogawki (kurtka przeciwwietrzna i spodnie). Wieje. To może utrudnić wchodzenie. Pod sam koniec zaczyna padać drobny deszczyk. Bardzo ciężko oddychać.

Chata **Kibo**. To nie to samo co niższe chaty – drewniane domki, gdzie jest ciepło i nawet przytulnie. Tym razem stoi przed nami gipsowa buda, gdzie jest zimno. Pamiętam – muszę spakować się w mały plecak: a więc – pomadka, krem, trzy litry wody, trochę słodyczy, latarka. Aparat fotograficzny – trzeba być ostrożnym, by baterie nie zamarzły. Wycwaniłam się i wkładam swój w wełnianą skarpetę. Coś na ząb i spać! Niektórzy nie mogą – za zimno, są zdenerwowani itp. JA kładę się spać, bo tak trzeba – żeby być wypoczętą przed wspinaniem się w środku nocy.

Budzimy się o jedenastej. Na zewnątrz ciemno i zimno. Szybko ubieramy się, ciepła herbatka, małe ciacho i w drogę. Może nam ona zająć od sześciu do ośmiu godzin.

Ustawiamy się gęsiego, po boku ci, którzy nas prowadzą.

Ruszamy.

Już po czterdziestu minutach przystanek… Zmęczeni? Im wyżej, tym zimniej i trudniej się oddycha. Dla mnie nie było tak zimno, miałam rozpiętą kurtkę, wspinałam się bez rękawiczek i czapki. Wchodzenie to ciężka praca… Należy pamiętać, że im wolniej się idzie, tym lepiej. Zauważyłam, że rozlana na kurtce woda – zamarza…

Zaczynam z tyłu naszego sznureczka. W ciągu całej tej wędrówki pojawiam się coraz bardziej na początku naszej grupy. Gdy około piątej trzydzieści rano zauważyłam, że za pół godziny ukaże się słońce, wysunęłam się na prowadzenie, bo bardzo chciałam obejrzeć wschód słońca z **Gilman's Point**. Niebo zaczęło stawać się fioletowo-różowe, widać chmury i gwiazdy. Zatrzymaliśmy się, niektórzy wysiłek dobrze znoszą, inni – nie.

Nagle zauważyłam czerwony punkcik na fioletowej chmurze. Okazało się, że to samolot. Wydawało mi się, że jesteśmy na tej samej wysokości, więc musiałam wszystkim to powiedzieć. Raptem ujrzałam pod nogami śnieg. Wzruszyłam się. Poczułam się jak na świętach Bożego Narodzenia. „Białych" świąt nie miałam już od trzech lat!

Słońce przywitałam kilkanaście minut od **Gilman's Point**. Nic nie szkodzi – widok nadal był piękny. Trudno opisać wrażenia, trzeba samemu to zobaczyć. Podczas drogi na **Gilman's Point** wszystko się zmienia. Zaczyna się od wchodzenia w nocy po piasku pochodzenia wulkanicznego, później otaczają wspinacza wielkie kamienie, na których bardzo przydaje się laska. Do celu dotarłam o szóstej trzydzieści rano jako pierwsza z całej grupy, zaraz za nauczycielem. Z naszej dwudziestotrzyosobowej gromadki tylko sześć osób i dwóch nauczycieli miało prawo wchodzić dalej, a to dlatego, że zmieściliśmy się w czasie i na tyle czuliśmy się dobrze, by kontynuować wspinaczkę.

Z **Gilman's Point** – 5681 m n.p.m. – widać wszystko; pobliskie miejscowości, miasta, słońce, chmury i śnieg. Dobrze jest tu zastanowić się, czy jest się w stanie iść dalej w górę, a potem w dół, czy po prostu lepiej od razu udać się w drogę powrotną. Tylko niespełna trzysta metrów wyżej, a ile trzeba wysiłku, tlenu na ich pokonanie. A sił zaczyna brakować.

Przed nami najwyżej położony punkt w Afryce!

Czułam się coraz gorzej. Zaczął dokuczać mi ból głowy i wyczerpanie. Ale wytrwale wspinałam się na **Uhuru Peak**. Aż do skutku. **Zaliczyłam „Kili"!**

Ze szczytu **Uhuru Peak – 5895 metrów n.p.m.**! – roztacza się wspaniały widok. Widać stąd Mt. Meru, chatę Kibo, Zebra Rock i wszystko wokoło. Ta wspinaczka była po to, żeby to wszystko zobaczyć i sfotografować się razem z drewnianym totemem na szczycie. Niestety, nie było już w skrzyni „księgi wpisów". Można się załamać… ale tego widoku i samej satysfakcji nikt mi nie może zabrać.

O dziewiątej trzydzieści najwyższy czas, by schodzić w dół. Nadciągają chmury i robi się niebezpiecznie. Z każdym krokiem czuję się lepiej. Schodzenie z Uhuru Peak do chaty Kibo zabrało nam około godziny. Tym razem zbiegałyśmy po piachu, a nie szłyśmy gęsiego.

W chacie byłyśmy o dziesiątej czterdzieści pięć. Krótki, ciepły posiłek, czas na spakowanie się w duży plecak i bez zbędnych rozmów wyruszyliśmy do drugiej chaty o godzinie dwunastej. W końcu nawet śnieg poprószył – można się było poczuć prawie jak w Polsce. Na dół wiodła ta sama droga. Szło się około trzech godzin. Ciepły posiłek o piątej, trzeba poczekać na wszystkich. I SPAĆ! Nic nie jadłam od ubiegłej nocy, teraz też nic nie jem, bo bardziej mi zimno i śpiąco, niż przychodzi mi ochota na jedzenie.

W drugiej chacie spałam jak zabita prawie trzynaście godzin. Rano o siódmej trzydzieści pobudka, żeby zacząć schodzenie o ósmej trzydzieści – przedłużone do dziewiątej. Nie można się zgubić, bo droga już znana. Osobiście wolę truchtać na dół, mieć cały czas kolana ugięte stosując miękkie schodzenie, bo inaczej bolą mnie nogi. Przekąska w pierwszej chacie i dalej w drogę powrotną.

Jako pierwsza dziewczyna znalazłam się na dole o godzinie 13.15. Widoki takie same, nic się nie zmieniło, oprócz tego, że oddycha się lepiej. Jeśli w **Dar es Salaam** mamy 100 proc. tlenu, na początku drogi na **Kilimandżaro –** jest go 80 proc., na **Gilman's Point** około 20 proc., a na **Uhuru** tylko 15–10 proc. To ogromna różnica w stosunku do tego, co mamy na poziomie morza.

Wszyscy nie możemy doczekać się prysznica, którego nie używaliśmy już od tygodnia. Ostatnie zdjęcia. Powrót to naszego hotelu, **Babilon Lodge**. Prysznic. Każdy z nas nie kryje radości. *To już jest koniec, nie ma nic więcej do zdobycia...*

Na kolacji zostały rozdane dyplomy i inne dowody wejścia na szczyt. Po raz pierwszy w historii szkoły cała nasza grupa weszła na **Gilman's Point**, a sześć osób – to rekord – na **Uhuru Peak**.

Wracamy do domu autobusem w całkiem innej atmosferze. Wszyscy się już dobrze poznali, widzieli siebie w każdej sytuacji: kiedy byli czyści, brudni, chorzy, zmęczeni, wkurzeni i pogodni. Po prostu – stanowimy zgraną grupę. I oby tak zostało również w szkole.

Może w przyszłym roku wejdziemy na **Mt. Kenya**? Kto wie. Kilka osób już mnie namawia.

Korespondencja z Tanzanii
Urszula Strzemiecka I. 18
Pod Wiatr nr 3/2004r

Zaśnij...

Niby przypadkiem, wyrwani z biegu spraw naprawdę istotnych. Właściwie tylko na minutkę, bo wypada – to torunianie w teatrze. Można ich podzielić na kilka mniejszych grup: konieczni aktorzy, fascynaci, uczniowie z przymusu – rzadziej z zainteresowania, seniorzy i snoby. Jednak jest również drużyna specjalna, nazywam ich: „żądni wrażeń". Ci przychodzą co dwa lata w maju. Nie bez powodu. Właśnie wtedy nadwiślańskie miasto staje się portem dla teatrów z całej Europy. W Toruniu odbywa się Międzynarodowy Festiwal Teatralny Kontakt.

Nie jestem wobec takich wydarzeń obojętna. Zaopatrzona w program i recenzję wybrałam spektakl o tytule **„Fellini"** w wykonaniu holenderskiej grupy **Noord Nederlands Toneel***. Czy przekonał mnie klaun na zdjęciu, czy fragment o historii miłosnej, nie wiem, nie pamiętam. Niemniej czwartkowy wieczór spędziłam w dostojnym budynku toruńskiego Teatru im. Wilama Horzycy i nie żałuję ani chwili.

Głównym bohaterem przedstawienia był Federico Fellini, znany ze swojego onirycznego stylu reżyser filmowy. On był przewodnikiem po swoim zakręconym umyśle. Jednak nie okazał się egoistą. Pokazał nam też coś, o czym wielu dawno zapomniało. Marzenie.

My, tak bardzo realni, mogliśmy wreszcie odpłynąć w sen. Podniebne akrobacje, fruwające kurtyny, kobiety-motyle, suknie z piór, cekiny, szczudła, tancerze, klauny. Wszystko się kręci – już nas zahipnotyzowali! Wtedy, nie wiadomo skąd, rozlega się dźwięk. Kompozytor we własnej osobie, multiinstrumentalista, śpiewak i czarodziej. Kiedy grał, cała sala zamierała. Swoją trąbkę traktował jak kobietę, delikatnie i z czułością, a ona jakby z wdzięczności wydobywała melodie, w których każdy mógłby się rozpłynąć.

Siedzieliśmy jak gromada urwisów zatrzymana przez uliczny teatrzyk kukiełkowy. Cała sala dorosłych z minuty na minutę młodniała, aż w końcu każdy miał po siedem lat i już nic dla nikogo nie było niemożliwe.

A ja czułam się jak mała dziewczynka po raz pierwszy w cyrku. Nie takim z niedokarmionymi słoniami i liniejącymi tygrysami w ciasnych klatkach. Tylko tym ze świata doskonałego – świata wyobraźni. Wydawało mi się, że to wszystko dzieje się dla mnie. Artyści uśmiechają się w kierunku loży, w której siedziałam, a każde ich słowo idealnie pasuje do mojego życia.

W którymś momencie usłyszałam głośny śmiech. Spojrzałam spłoszona po widowni – to ja?! To ja śmiałam się tak głośno? Tak, najwyraźniej. Jednak nie zostałam obrzucona tabunem wymownych ofuknięć. Zamiast tego zobaczyłam twarze, które promieniały dziecięcym szczęściem. To był dla nas wszystkich sen, z którego nikt nie chciał się wybudzić, bo wreszcie poczuł się jak w domu. Obleciał mnie strach, a co będzie, jak się skończy? Brutalny powrót na ziemię, gdzie konie nie stepują, a ludzie umierają. Federico Fellini na scenie zapytał, dlaczego szesnaście godzin dnia na jawie czynimy o tyle ważniejszymi od tej reszty, w raju?

Wychodząc, mówiłam: „To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam". Ale teraz myślę, że to nieprawda. Kiedy śpimy, nasza wyobraźnia nie zna granic. Wymyślamy historie rodem z filmów science fiction, latamy po przestworzach. Tworzymy całkiem nowy świat, który jest wyłącznie nasz. I potem, nie wiedzieć czemu, budzimy się zawstydzeni, że daliśmy się ponieść fantazji – okropność! Trzeba szybko zapomnieć i ponownie przybrać szary uniform człowieka poważnego.

Główny bohater powiedział, że każdy ma twarz idealną, ponieważ nawet małe jej drgnienie jest obrazem tak skrzętnie skrywanej duszy. Żadna maska nie odda tego, co w człowieku najważniejsze. Zatem należy pokochać siebie w całości, bo to, co mamy w środku, zostanie z nami na zawsze.

Jagna Nawrocka I. 17

***Noord Nederlands Toneel** (w skrócie NNT) to niewielka grupa teatralna, która niebawem będzie obchodziła 25-lecie istnienia. Od 2009 r. dyrektor naczelną i ds. artystycznych jest reżyserka teatralna Ola Mafaalani. NNT ma swoją siedzibę – Teatr Machinefabriek, w Groningen – mieście na północy Holandii. Jednak, jako że jest nazywany teatrem eksperymentalnym, wykorzystuje różne układy przestrzenne, a ze spektaklami jeździ zarówno po kraju, jak i za granicę.

Unikaty przyrodnicze z Azji i Ameryki w zasięgu ręki

Mali bohaterowie na ścieżce przyrody

Wielu z nas marzy o zobaczeniu jak największej liczby „cudów" natury naszej planety. Ogrody botaniczne, parki narodowe czy krajobrazowe – a wśród nich okazy zapierające dech w piersiach – stanowią wyzwanie podróżnicze dla niejednego miłośnika ekologii. Tymczasem swoistą perełkę przyrodniczą pielęgnują pracownicy Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku w Myślęcinku. Na obszarze Ogrodu Botanicznego można podziwiać roślinność „Ścieżki dydaktycznej dla niewidomych".

Z tej oferty edukacyjnej skorzystali wychowankowie Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego nr 1 dla Dzieci i Młodzieży Słabo Widzącej i Niewidomej im. Louisa Braille'a w Bydgoszczy, którym towarzyszyłam podczas przeprowadzonych zajęć terenowych.

„Ścieżka dydaktyczna dla niewidomych" powstała z inicjatywy mgr. inż. Karola Dąbrowskiego. W 1998 roku pan Karol, w ramach wyjazdu służbowego przebywał we Włoszech, w Padwie, na terenie najstarszego europejskiego Ogrodu Botanicznego powstałego w… 1545 roku. To tam właśnie podpatrzył roślinność opisaną pismem punktowym brajla[1]. – Ten ogród to zabytek, zachował układ roślin sprzed 350 lat. Rośliny, do których została dołączona charakterystyka w systemie brajla, prezentowane były w donicach przy stołach umiejscowionych przy szlaku – wspomina pan Karol.

Tamten wyjazd zainicjował pomysł, aby podobne rozwiązanie zastosować na terenie bydgoskiego Ogrodu Botanicznego w Myślęcinku. Pojawienie się tej interesującej koncepcji zbiegło się z argumentacją pracowników Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego nr 1 dla Dzieci i Młodzieży Słabo Widzącej i Niewidomej im. Louisa Braille'a, którzy zgłaszali potrzebę stworzenia ciekawej dla niedowidzących formy edukacji przyrodniczej w Myślęcinku. I tak oto opracowano projekt wspomnianej trasy, którego autorem jest Karol Dąbrowski.

Ważnym elementem projektu była treść tabliczki charakteryzującej roślinę, zapisana przy użyciu pisma punktowego brajla. Tego zadania podjęły się panie Iwona Bednarek (aktualnie kierownik Ogrodu LPKiW) oraz Hanna Wdowicka. – Zamykałyśmy oczy i przeprowadzałyśmy eksperyment: próbowałyśmy wczuć się w sytuację osoby niewidomej, by wyobrazić sobie, co taka osoba czuje. Zastanawiałyśmy się, które elementy najbardziej „przemawiają" do odbiorcy: kształt liści, rodzaj igieł czy zapachy – wspomina pani Iwona.

Opisy roślin konstruowano przez okres jesieni oraz zimy 1998 roku. A było nad czym pracować, bowiem idea zakładała zasadzenie około 200 gatunków roślin. Kiedy teksty były gotowe, wysłano je do Polskiego Związku Niewidomych z siedzibą w Warszawie, celem wydrukowania specjalnych płytek. Miały zostać przymocowane do balustrady, za którą znajdowałaby się właściwa roślina.

Wiosną 1999 roku rozpoczęto montować otrzymane tabliczki. Dobór roślin uzależniono od najważniejszych gości tej ścieżki – osób z problemami wzroku, dlatego odrzucono zieleń silnie kłującą, trującą czy parzącą. Wybrano rośliny o liściach odpornych na dotykanie, a równocześnie mogące znajdować się blisko balustrady. W ten sposób powstała leśna promenada (oficjalne otwarcie nastąpiło w 1999 r.), umożliwiająca poznanie bogactwa flory osobom niewidomym, ociemniałym i słabowidzącym. Trasę tej „drogi" wyznacza balustrada o długości 300 metrów: wykonana z nierdzewnej rury, prowadzona na wysokości 90 cm, zaokrąglająca się łagodnymi łukami przy skrętach. – Trudności przysparzało dostosowanie balustrady kierunkowej do technicznych możliwości zginania rury, dlatego, aby uzyskać pożądane łuki, spawaliśmy rurę argonem. Dziś, po piętnastu latach, balustrada wciąż wygląda jak nowa. Wyzwaniem stał się dla nas sposób mocowania tabliczek. Ostatecznie zastosowaliśmy specjalne obejmy – wspomina pan Karol Dąbrowski.

Do poręczy przymocowane są płytki z nazwą oraz charakterystyką rośliny opisaną pismem punktowym brajla. Roślina znajduje się za tabliczką, aby zwiedzający mógł zweryfikować treść z rzeczywistymi kształtami oraz właściwościami. Tym sposobem 105 gatunków zasadzono w gruncie w odległości do 90 cm od balustrady, aby osoba niewidoma, trzymając się poręczy, mogła roślinę dotknąć i zapoznać się z jej walorami. Równocześnie okazy przyrodnicze zostały ulokowane na wysokości powyżej 1 metra, aby użytkownik nie musiał schylać się, by je odnaleźć. Pozostałe 100 roślin o niewielkich rozmiarach (jak np. szczypiorek, rozchodnik, pelargonia czy macierzanka) rozmieszczono w doniczkach na wysokości 90 cm. Początkowo donice były wykonane z drewna, ale z upływem lat wymieniono je na ceramiczne, które nie ulegają erozji.

Gama ścieżki (a przy tym paleta barw i zapachów) jest bogata. Znajdują się tu m.in. warzywa, zioła, trawy, byliny. – Osoby widzące zdążą uchwycić walory trasy w piętnaście minut. Osobom z dysfunkcją wzroku zajmie to dwie godziny. – Kiedyś opowiedziano mi takie zdarzenie. Kiedy zwiedzający niewidomy dotknął czosnku, a przecież charakteryzuje się on specyficznym zapachem, powiedział, że teraz „widzi", jak to warzywo wygląda – uśmiecha się pani Iwona.

Tak przemyślana „droga" dydaktyczna to ciekawe rozwiązanie dla wszystkich chcących zapoznać się z walorami przyrodniczymi naszej planety. – Trudno znaleźć takie miejsce, gdzie po przebyciu 300 metrów wyznaczonej trasy pozna się ponad 200 gatunków roślin. To kompendium wiedzy i wrażeń dla każdego. Odnajdzie tutaj bowiem zarówno formy kolumnowe, płaczące, krzewinki, jak i pnącza – wyjaśnia pan Karol.

Istnieje projekt, aby ścieżkę dydaktyczną zmodernizować, ale wciąż nadrzędnym celem pozostaje taki dobór roślin, które nie zagrażałyby bezpieczeństwu osób zwiedzających. Do takich koncepcji zalicza się

wzbogacenie szlaku o tzw. świat roślin wodnych i przywodnych, dobudowanie altany letniej do prowadzenia zajęć dydaktycznych i zbudowanie tzw. szklarni chłodnej, gdzie okres zimy mogłyby przetrwać rośliny nieprzystosowane do naszego klimatu, np. palma, mirt, oleander. – To nie byłaby „palmiarnia", lecz miejsce umożliwiające przetrwanie roślinom, by wiosną mogły prezentować się użytkownikom Ogrodu Botanicznego na nowo – tłumaczy pan Karol.

O tym, że leśna promenada umiejscowiona w Ogrodzie Botanicznym w Myślęcinku jest proekologiczną, dydaktyczną perełką, świadczy fakt, że wykorzystuje się ją również do pisania prac dyplomowych. – W chwili, gdy rodziła się koncepcja powstania ścieżki, oprócz rozwiązań zastosowanych w Padwie, ja znałem wyłącznie trasę integracyjną w Powsinie, przeznaczoną zarówno dla osób zdrowych, jak i poruszających się na wózku. Myślę, że dobrym rozwiązaniem byłoby również poszerzenie naszej oferty o tzw. drogę integracyjną – zwierza się pan Karol.

Na czym polega ewenement tak skonstruowanej formy edukacji przyrodniczej, przekonałam się w pierwszych dniach czerwca, uczestnicząc w wycieczce dydaktycznej pt. **„Ścieżką do wiedzy"**, zorganizowanej dla uczniów klas pierwszych gimnazjum oraz liceum ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci i Młodzieży Słabo Widzącej i Niewidomej im. Louisa Braille'a w Bydgoszczy.

Młodzież podzielono na dwu- oraz trzyosobowe zespoły pod opieką nauczycieli tyflopedagogów z Ośrodka: Wiesławy Karasińskiej, Zofii Kopowskiej i Beaty Gałgańskiej. Tematem zajęć terenowych była **„Bioróżnorodność roślin"**. Wychowankowie placówki otrzymali karty pracy z poleceniami. Należało m.in. poszukać roślin chronionych, zbadać kształt i zapach liści, odnaleźć wybrane gatunki rodzime i obce, pochodzące z innych kontynentów. Młodzi przyrodnicy dowiedzieli się, że będą mieli okazję poznać roślinność z różnych stron świata. Zanim przekroczyliśmy bramę Ogrodu Botanicznego, jeden z uczniów, czując na swoim ciele ciepło, zauważył: – Ładnie świeci słońce! Aura nam sprzyjała, oświetleni promykami najjaśniejszej gwiazdy wyruszyliśmy zbadać florę ścieżki.

Uczniowie słabowidzący sami odczytywali polecenia z kart pracy, przygotowane w powiększonym druku, po czym zapisywali odpowiedzi. I tak np. jedno z poleceń

dotyczyło odszukania liścia miłorzębu. – Przez piętnaście minut szukaliśmy tego drzewa, nie wiedzieliśmy, że liście są małe, bo miłorząb przymarzł – tak swoje wrażenia z wycieczki następnego dnia podsumował Bartek. A za chwilę pochwalił się swoją wiedzą: – To drzewo długowieczne, może przetrwać nawet do 4 tysięcy lat – mówił z pasją młody odkrywca.

Podczas wycieczki urzekła mnie technika zwiedzania ścieżki przez Mikołaja, ucznia I klasy liceum. Nie spiesząc się, zatrzymywał się przy napotkanych tabliczkach, odczytywał na głos tekst zapisany pismem brajla, po czym sięgał dłonią, by zanalizować kształt rośliny. Był tak przekonujący w swoim zwiedzaniu, że większość grupy nie wyprzedzała go, słuchając treści odczytywanych przez kolegę. Drobne (wręcz jednosekundowe!) niedogodności w czytaniu nastręczały jedynie… nazwy łacińskie. – Naukę odczytywania pisma punktowego opanowałem w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Początkowo trudność sprawiało mi wyczuwanie elementów pisma opuszkami palców, trzeba było się przyzwyczaić. Wiedziałem, że stracę wzrok, a uwielbiałem czytać książki, to mnie motywowało – zwierza się Mikołaj.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się rośliny iglaste, ponieważ każdy gatunek ma specyficzny, odrębny rodzaj igieł. – Można badać je pod względem długości igieł, ich miękkości, ostrości i zapachu – precyzuje pani Iwona. W trakcie zwiedzania ścieżki Hubert, uczeń I klasy gimnazjum, został okrzyknięty ekspertem z dziedziny biologii. Nieco zawstydzony, bezbłędnie wymienił przykłady roślin nagonasiennych posiadających igły: sosna, limba, kosodrzewina. Badając gatunki nagozalążkowe, uczniowie na dłużej zatrzymali się przy daglezji, której igły po roztarciu przypominają zapachem cytrynę. – Wiele osób przechodząc obok daglezji, mówi „świerk", ale ona ma miękkie igły. W naszym klimacie maksymalnie może osiągnąć wysokość do 45 m – wyjaśnia pani Iwona.

Analizując rośliny nagonasienne, uczniowie zachwycili się specyfiką jodły kalifornijskiej. Po intensywnym potarciu jej igieł można wydobyć z nich zapach cytrusów. Odkrywcy przystąpili do zweryfikowania tej informacji. Z ciekawością dotykali szyszek drzewa. Wzajemnie podsuwali sobie dłonie, by przekonać siebie nawzajem o słuszności tezy zapachowej, aż w końcu dało się słyszeć entuzjastyczny okrzyk: – Tak, pachnie cytryną!

Wspomnienia z „badania" kokornaka wielkolistnego na pewno na długo zagoszczą w pamięci młodzieży. Pierwszy kontakt dotykowy intryguje – kształt liści tego drzewa nie jest zbliżony do tych standardowych. – Sprawdź, proszę, opuszkami palców brzeg blaszki liściowej. Z czym on ci się kojarzy? – zachęcała swych podopiecznych

pani Karasińska. – To serce! – wykrzyknęli najszybsi i ponownie zaczęli zapoznawać się z gabarytami rośliny. Nagle usłyszeliśmy: robak! – przestrzegał kolegów jeden z uczniów. Przybliżyłam się do kokornaka, aby sprawdzić, czy rzeczywiście jego specyficzne odgałęzienie może nasuwać skojarzenie z obecnością insekta. Okazało się, że kwiaty tej rośliny były nieprzyjemne w dotyku i miały brzydki zapach. Gdy w trakcie eksperymentu spoglądałam na nie – wyobraźnia dodatkowo zaczęła podpowiadać, że to na pewno jest owad, dlatego tym bardziej jestem pełna podziwu dla młodych odkrywców, którzy nie mieli zahamowań, by „zaprzyjaźniać się" z pnączem.

Dużo emocji dostarczyło uczniom z Ośrodka im. Louisa Braille'a zwiedzanie pobliskiego ogrodu z ziołami. To właśnie tutaj młodzież miała okazję poznać zioła znane im z życia codziennego, np. kolendrę, lubczyk, cząber, miętę, koper czy szałwię. – Niektóre pachniały jak rosół – uśmiecha się Filip, uczeń I klasy gimnazjum. Jednakże zwycięzcami, w kategorii wytwarzanej woni okazały się mięta i melisa, przyciągające najwięcej uczniów. – Przyniosłem do domu melisę i po powrocie zjadłem ją z kurczakiem. Myślałem, że to mięta – przyznał się Bartek.

– Wyjazd do Myślęcinka oceniam jako udany. Podobało mi się to, że z tabliczek mogłem wyczytać, skąd rośliny pochodzą. Wszystkie informacje były rozsądne, nie było ich za dużo – komentuje Mateusz, uczeń I klasy liceum.

Mateuszowi najbardziej przypadły do gustu opisy przyporządkowane do roślin. Natomiast większość młodzieży zachwyciły same gatunki roślin. A jest co zapamiętać, w końcu ścieżka obejmuje ponad 200 okazów. – Właściwie wszystko zwróciło moją uwagę, chociaż w sposób szczególny zapamiętałam lipę amerykańską o fajnych, dużych liściach, większych niż te, które do tej pory widziałam. Chętnie bym tam wróciła – podsumowała Karolina, uczennica II klasy liceum. Następnie Mariola wyznała: – Dobrze się czułam w roli lidera mojej grupy. Najbardziej zapamiętałam układ ścieżki: najpierw gatunki iglaste, później liściaste. Z kolei Bartek dodał: – Poznałem wiele roślin, o których istnieniu w ogóle nie wiedziałem.

Natomiast to, co najbardziej utkwiło w mojej pamięci, to autentyczna radość wywołana kontaktem z opisaną rośliną. Zamykam oczy i widzę Karolinę, która w skupieniu odkrywała piękno otaczającej natury. Pragnienie poznania flory emanowało z każdego ucznia. Zachowanie osób niewidomych umocniło mnie w przekonaniu, że dużym przeżyciem jest dla nich kontakt dotykowy z przyrodą. Zaprzyjaźnienie się z nią w ten sposób. Nie zabrakło również okrzyków zdziwienia, np. „Proszę pani, ukłułem się", lecz taka opinia nie była zabarwiona

wyrzutami. Wręcz przeciwnie, wyostrzała czujność małych bohaterów.

Podczas tej edukacyjnej wycieczki miałam okazję przekonać się, że balustrada jest doskonałym rozwiązaniem dla osoby z problemami wzroku – prowadzi i kieruje, a przy okazji uczy samodzielności. – Na ścieżce byłem po raz pierwszy. Układ poręczy pomaga osobom niewidomym, a po przeczytaniu opisu można wyobrazić sobie każdą roślinę. Poznałem wiele roślin „egzotycznych", w przeciwnym razie musiałbym pojechać do Azji, Ameryki – wylicza Mikołaj.

Wychodząc naprzeciw potrzebom Ośrodka, Wydział Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy planuje nasadzanie drzew w okolicach placówki. Część roślin wyrośnie najprawdopodobniej na pobliskim skwerze im. podporucznika L. Białego. Przy doborze zieleni wzięto pod uwagę m.in. przydatność drzew do celów dydaktycznych. – Dobrze jest utworzyć taką „podręczną" ścieżkę dla młodzieży niewidzącej – komentuje inspektor WGKiOŚ, pani Joanna Mostowska. Na obszarze wspomnianego skweru zdecydowano się posadzić m.in. jodłę koreańską, magnolię japońską, mydleńca wiechowatego czy oliwnika wąskolistnego, osiągającego do 2,5 metra wysokości.

Sądzę, że doskonałą formą przekazywania wiedzy osobom niewidomym jest organizowanie wszelkiego rodzaju zajęć dydaktycznych w taki sposób, aby młodzież uczyła się rozpoznawać m.in. ekosystemy, fragmenty środowiska czy zjawiska zachodzące w naturze. Wiedza wyniesiona z warsztatów ekologicznych to mądrość oparta na własnym doświadczeniu, ucząca szacunku do przyrody. Ja już przekonałam się, że walory leśnej promenady w Myślęcinku – tego bydgoskiego cuda dydaktycznego – godne są upowszechnienia i zastosowania. Ba, pozwalają poznać perły przyrody bez udawania się w odległe zakątki świata. Przekonaj się o tym i Ty, Czytelniku. Ścieżka jest udostępniona wszystkim zainteresowanym od drugiej połowy maja aż do późnej jesieni

Tekst i zdjęcia:
Agnieszka Szlachcikowska I. 24

[1] Jest to system pisma dotykowego dla niewidomych, stworzony przez Louisa Braille'a.

[2] Przykładowo: treść tabliczki nr 111: „Lipa drobnolistna. *Tilia cordata* Mill. Drzewo do 30 m. Liście okrągłe, drobnopiłkowane, od spodu w kątach nerwów owłosione. Kwiaty jasnożółte, drobne, silnie pachnące, zebrane w zwisające kwiatostany. Występowanie – Europa, Azja Zachodnia, Kaukaz".

Wybieraj!

Ziemia zabudowana, pokryta asfaltem, zajęta przez fabrykę i drogę, zalana wodą i zasypana odpadami przemysłowymi – to ta, na której nic nie wyrośnie. Kiedy będą chcieli zalać betonem otoczenie Twojego domu, zapytaj – co dostaniesz w zamian? Gdzie będzie rosła trawa, kwiaty i krzewy, które służą Twojemu zdrowiu i samopoczuciu? Nie daj sobie zabrać bez słusznych racji zieleni, Twoich płuc, płuc Twojego osiedla i miasta. A jakie to są słuszne racje? Wygoda czy zdrowie? W y b i e r a j !

Dodatek ekologiczny dofinansowany jest ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Toruniu

Kuyavia and Pomerania

visitkujawsko-pomorskie.pl